Rocznik XIII. Kraków 1-go listopada 1905. Nr. 11.

NOWY DZWONEK

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia **1-go**.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

„Nowy Dzwonek“ kosztuje w prenumeracie:
w Austryi na **rok**: **5** koron (**2** złr. **50** cent.), na **pół roku**: **2** korony **50** hal. (**1** złr. **25** cent.) — Do **Niemiec** na rok: **5** marek. — Do **Ameryki** na rok: **2** dolary.

Każdy prenumerator *Nowego Dzwonka* składający z góry ***całoroczną*** prenumeratę — otrzymuje ***co kwartał*** **„Bibliotekę Rozmaitości“** — za ***darmo!***

Adres:
Redakcya „Nowego Dzwonka“ w Krakowie ul. Wolska L. 28.

Dwa Kalendarze — za darmo!!

Ponieważ wielu Czytelników prosi nas, abyśmy im dali jak w latach poprzednich, tak i na rok przyszły (1906) **Kalendarz książkowy** pod tyt.: **„Święta Rodzina“,** przeto uwiadamiamy, że **damy ten kalendarz** *(Święta Rodzina)*, a nadto damy **Kalendarz ścienny,** i to pod następującymi warunkami:

Kto sobie zaprenumeruje **„Nowy Dzwonek“** na rok przyszły i nadeśle tylko **półroczną prenumeratę: 2** korony **50** halerzy (czyli 1 złr. 25 ct.) — ten otrzyma za **darmo** jako **premię:** tylko **Kalendarz ścienny.**

Kto zaś zaprenumeruje sobie **„Nowy Dzwonek“** odrazu na **cały rok** i nadeśle **całoroczną prenumeratę** (5 koron) — ten otrzyma oprócz **Kalendarza ściennego,** także i **Kalendarz książkowy** ***„Święta Rodzina“*** — a nadto taki całoroczny prenumerator otrzymywać będzie co kwartał **„Bibliotekę Rozmaitości“** (**4 książeczki** w ciągu roku).

Zaznaczamy więc wyraźnie i powtarzamy, że **tylko ci,** którzy zaprenumerują sobie **„Nowy Dzwonek“** z góry na **cały rok** i nadeślą **całoroczną prenumeratę** (**5** koron) — tylko ci otrzymają za **darmo:**

Kalendarz książkowy „ŚWIĘTA RODZINA“,

a nadto po Nowym Roku **co kwartał jednę książeczkę „Biblioteki Rozmaitości“.**

Płacący zaś **półroczną prenumeratę** — otrzymają jako premię **tylko „Kalendarz ścienny“.**

Czytelnicy półrocznie płacący nie mają przeto prawa ani do **kalendarza: „Święta Rodzina“,** ani do **„Biblioteki Rozmaitości“**.

Rozsyłka obu kalendarzy (książkowego i ściennego) rozpocznie się z początkiem przyszłego miesiąca — czyli w grudniu bieżącego roku.

Niechrześcijański i zgubny nałóg.

Chcemy dziś pomówić o jednej nader zgubnej manii, czyli o nałogu szkodliwym i dla duszy i dla kieszeni, a bardzo niestety rozpowszechnionym po wsiach i miasteczkach naszych, zwłaszcza zaś po wsiach.

Mamy tu na myśli manię prawowania się, czyli procesowania się, i to zazwyczaj o byle co. nieraz dla byle jakiego powodu, dla błachostki, na którą i plunąć nie warto.

Gdy raz w gminie chrześcijańskiej w mieście Koryncie wszczęły się niezgody i spory, gdy zaczęto się włóczyć po sądach i to jeszcze pogańskich, święty Paweł

Apostoł dowiedziawszy się o tem, napisał do gminy list, w którym napiętnował dosadnymi słowy to procesowanie się, i powiada, że nam chrześcijanom nie przystoi włóczyć się po sądach, że powinniśmy raczej krzywdę znosić, niźli ją wyrządzać, i że gdy już w żaden sposób w jakich sporach nie możemy się porozumieć i pogodzić, to powinniśmy między sobą wybrać mężów mądrych, którzyby bez sądów spory rozstrzygali. W ostateczności dopiero wolno i w sądzie dochodzić sprawiedliwości i słuszności, ale z wszelką łagodnością i spokojem, bez goryczy i nieprzyjaźni.

O ludziach, którzy lubują się w procesach i włóczeniu po sądach, powiada Duch święty tak: „*Kto myśli o rozterkach, miłuje swary — ten upadku szuka*“ (Księga przypow. 17 — 19) rozumie się upadku duszy swojej, bo procesy prowadzą do zaciętej nienawiści, do wielu strat, a nieraz do rozlewu krwi i zabójstwa.

Przypatrzmy się dalej, jakie są koszta najmniejszego procesu, zakończonego zaraz ugodą: Za napisanie skargi 2 złr., dla świadków 2 złr., ugodne 1 złr., razem 5 złr. A gdzież jeszcze adwokat, a strata czasu, fatyga, przekąska, a przekleństwa i zgorszenie? A przecież to wszystko Pan Bóg rachuje i będzie żądał rachunku w dzień sądu z każdego nawet na próżno wymówionego słowa!

Weźmy większy proces: pisarzowi 3 złr., stemple do 1 złr., świadkom po 2 złr., adwokatowi 15 złr. lub więcej, świadkom na drugim terminie 3 złr., komisyi 10 złr., za pisanie rekursu 2 złr., oto masz 36 złr.; za 3-ci termin znów z 30 złr, za 4-ty termin najmniej 80 złr., oto razem 146 złr., które zązwyczaj wypożycza się u żyda na wielką lichwę! A gdzież czas, a fatyga, a przekąski? Tymczasem gospodarstwo marnieje, bydło hudnie, zdrowie się niszczy, bieda pcha się drzwiami i oknami do domu. Prawdą to jest, co ludzie mówią o krowie, że ją procesnicy za rogi ciągną i za nogi, a adwokaci doją!

Lepiej jeszcze wykazuje skutki procesu, następujące zdarzenie prawdziwe.

Na lewym brzegu Sanu leży piękna wioska Płużyn. Na końcu wsi były grunta, należące do dwóch właścicieli, oddzielone od siebie miedzą tak szeroką, że dwie krowy mogły się naniej wygodnie paść, a w środku była jesz-

cze mała ścieżka. Po jednej stronie pasał Jędrzej, a po drugiej sąsiad jego Jakób. Na końcu tej miedzy przy łące rosła wierzba, którą już dawno niewiedzieć kto, czy ojciec Jędrzeja czy Jakóba, zasadził, gdy jeszcze obecni gospodarze byli małymi chłopcami. Wierzba dotąd rosła i nikt się nie troszczył, skąd się wzięła i do kogo należy.

Aż razu jednego, w dzień świąteczny, wyszli obaj gospodarze po południu oglądać zasiewy, jak wyglądają po deszczu. Zeszli się obaj na miedzy granicznej i rozmawiając o różnych gospodarskich sprawach, doszli i do owej wierzby. Jakób pyta się, jak stara będzie ta wierzba. „Będzie mieć ze 20 lat, odrzekł Jędrzej, bo już 19 lat, jak mój ojciec umarł, a sadził ją niedawno przed śmiercią“. „E! to wy nic nie wiecie, skoro mówicie, że wasz ojciec ją sadził, bo ja pamiętam jak dziś, że mój tatuś, gdy sadził wierzbę koło stawu, to i tę posadził na miedzy, tylko nie pamiętam jak dawno temu“. „Nie bajcie głupstw — przerwie głośniej Jędrzej — bo ja wiem dobrze, że tę wierzbę mój ojciec sadził“. „Komu wy to powiadacie?“ krzyknął już Jakób. „Czy ja to dziecko, albo głupiec? Czy nie wiem, co mówię? Spytajcie się tylko starszych gospodarzy, a powiedzą wam, że mój ojciec, a nie wasz sadził tę wierzbę“. „No — to się przekonamy“, odrzekł Jędrzej i wrócili obaj do domów.

Dowiadywali się u starych, ale żaden dokładnie nie wiedział. Jedni mówili, że wierzba Jakóbowa, inni, że Jędrzejowa. Ludzie uczciwi namawiali ich do zgody, ale ani Jakób, ani Jędrzej o zgodzie słyszeć nie chcieli. Jakób chciał mieć całą wierzbę, a Jędrzejowi ani połowy przyznać nie chciał. Tak więc o rzecz bagatelną przyszło do kłótni i nienawiści i do obrazy Boskiej. Jakób, człowiek gwałtowny i prędki, wybiegł nazajutrz z siekierą, aby poobcinać gałęzie z wierzby na płot; Jędrzej pośpieszył na ratunek wierzby. Bóg wie do czegoby przyszło, gdyby rozsądni gospodarze nie byli przyszli i nie uspokoili ich.

Wreszcie postanowili udać się na drogę procesu. Jakób wytoczył proces Jędrzejowi, a Jędrzej począł się bronić do upadłego! Powstała stąd między nimi straszna nienawiść. Jędrzej przez złość zabił kamieniem kurę Jakubowej, że weszła do jego ogródka — Jakób złamał kijem nogę prosięciu Jędrzeja, dopadłszy je na swym trawniku.

Stąd nowe skargi to przed wójtem, to przed sądem. Obaj zaślepieni w złości zapomnieli o Bogu, zapomnieli o spowiedzi wielkanocnej, bo żaden nie chciał się pierwszy przeprosić i pogodzić. Gdy ksiądz proboszcz począł grozić, że po nazwisku będzie wymieniał z ambony tych, którzy do spowiedzi nie byli, przyszło do krótkiej zgody; podali sobie rękę, ale ani się widzieć więcej nie chcieli.

W parę tygodni potem Jakób pojechał do miasta i zażądał komisyi. W kilka dni zjechała komisya kosztem jego, rozłożyli mapy i przekonali się, że wierzba stała w miejscu kamienia granicznego, że zatem połowa wierzby jest własnością Jędrzeja a połowa Jakóba. Radzili panowie z komisyi podzielić się wierzbą i nie czekać wyroku sądowego. Wreszcie dali się nakłonić obaj sąsiedzi do dobrego. Wykopali wierzbę, podzielili się drzewem, a wkopali kamień graniczny. Gdy każdy z nich obliczył, patrząc na trochę drzewa, ile go kosztował proces, przekonał się, że za te pieniądze mógł nową chałupę postawić, nie licząc tego, ile sam stracił na włóczeniu się po sądach i adwokatach, ile siebie i drugich nagryzł, ile Pana Boga naobrażał.

Prawdę to ludzie mówią, że „lepsza zgoda słomiana, niż złoty proces“. Żalą się ludzie na wysokie podatki, na nieurodzaje, a jednak raczej na siebie samych żalić się powinni, na swój nałóg procesowania się o byle co, bo procesy więcej kosztują niż podatki i większe straty przynoszą niż nieurodzaje i powodzie.

Setki tysięcy reńskich pożerają procesy, to jest: skargi, stemple, adwokaty itd. Gdyby ludzie żyli w większej zgodzie i miłości chrześcijańskiej — to te tysiące pozostałyby w kieszeniach ludzi, i jakoś byłoby lepiej na świecie.

Nieraz mogą się zdarzyć wypadki, że trudno obustronnie się pogodzić, wtedy najlepiej byłoby wybrać w gminie z pomiędzy radnych „sędziów polubownych“ i im oddać sprawę do rozsądzenia, a nie włóczyć się o byle co po sądach, bo procesy już niejednego sprowadziły na żebry i zrobiły dziadem.

Dusza ludzka nie umiera.

Miesiąc listopad poświęcony jest pamięci zmarłych. Ta pamięć i szczególniejsze nabożeństwo za ich dusze opiera się na prawdzie katechizmowej, którą znają wszyscy ludzie, oświeceni w rzeczach wiary i wierzący w Boga, to jest, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, że nigdy nie umiera.

Niestety! po wszystkie czasy, aż do dni naszych, trafiają się jednak niedowiarkowie, którzy tej prawdzie zaprzeczają. Najczęściej nie wierzą w nieśmiertelność duszy ci, którzy się obawiają kary za swoje złe życie, radzi wmawiają w siebie i w drugich, że ze śmiercią człowieka kończy się wszystko dla niego. Zwykle owi niedowiarkowie są to ludzie niby uczeni, choć co prawda, w naszych czasach nie brak i prostaczków, którzy, zbałamuceni ich bredniami, tracą niekiedy wiarę w życie przyszłe.

Pan Bóg w niedościgłych zamiarach swoich, czasem dla utwierdzenia wiary wierzących, lub zawstydzenia niedowiarków, dopuszcza, że dusze ludzi zmarłych ukazują się żyjącym. Tak było na przykład przy śmierci Pana Jezusa. Lubo zdarza się to bardzo rzadko, to przecież niekiedy w rozmaitych czasach, różnym ludziom ukazywały się dusze, używające chwały w niebie, cierpiące w czyścu lub nawet potępione w piekle.

Jedno takie prawdziwe zdarzenie, stwierdzające, że dusza ludzka nie umiera, a nadto wykazujące, jak dobre uczynki wyjednywają nam miłosierdzie Boże, pragniemy opowiedzieć ku zbudowaniu naszych czytelników.

W ósmym dziesiątku siedemnastego wieku, to jest około roku 1680, żył w Czerniakowie pod Warszawą książę Stanisław Lubomirski, właściciel rozległych włości i dóbr czerniakowskich. Książę Stanisław był człowiekiem nad wyraz szlachetnym, dobrym panem dla swoich poddanych, a miłosiernym dla biednych i nieszczęśliwych. Nigdy on nie opuścił potrzebującego, gdzie tylko mógł, zapobiegał ludzkiej biedzie i niedoli.

Ale jakto niema człowieka bez wady, tak też i nasz książę miał jednę niemałą przywarę, a ta była, że nie

przebierał w czytaniu ksiąg, choć wiedział, jak złe książki zgubnie oddziaływają na serce i umysł człowieka, że często stają się powodem jego zguby.

Otóż książę Stanisław, czytając dzieła filozofów pogańskich, tak się przejął ich urojeniami, które uważał za najczystszą prawdę, że stracił wiarę w nieśmiertelność duszy. Zdobywszy, jak mniemał, tak znakomitą wiadomość, chciał się z nią z innymi podzielić, bo dobre jego serce pchało go do tego. W tym tedy celu zaczął sam pisać wielce uczone dzieło, w którem usiłował dowieść, że dusza ludzka bynajmniej nieśmiertelną nie jest, lecz właśnie przestaje istnieć razem ze śmiercią człowieka. Lecz widocznie książę Lubomirski miał łaskę Bożą, która nie dopuściła jego zguby. Dobre uczynki księcia, jego miłosierdzie nad bliźnimi sprawiły, że i sam Pan Bóg miał miłosierdzie nad nim, i nad jego zaślepieniem, z którego chciał go uzdrowić.

Pewnego razu wracał książę Stanisław w otoczeniu swojego licznego dworu z Warszawy do Czerniakowa. Droga była bardzo uciążliwą, pełna porozlewanej wody i błota tak, że nawet dzielne rumaki przy książęcej kolasie były zmordowane i wolno posuwały się naprzód.

Naraz ujrzał książę, że dworzanie jego spoglądają w stronę lasu, coś sobie pokazują i żywo rozprawiają. Zapytał więc, co ich tak bardzo zajęło. Wtedy odpowiedział jeden z dworzan, że blisko gościńca, na wąskiej drożynie, wiodącej z lasu, stoi zaprzężony w liche koniki wóz, który widocznie ugrząsł w trzęsawisku, a przy wozie płacze i ręce załamuje jakaś niewiasta.

Księciu żal się zrobiło kobiety, więc rozkazał zatrzymać się swojej karecie, odprządz od niej konie, założyć je do utopionego w błocie woza i wyciągnąć go na gościniec. Rozkaz spełniono natychmiast, i niebawem zobaczył książę nadjeżdżający wóz, a na nim leżącego nieboszczyka, przy którym szła zapłakana kobieta. Litościwy pan zaczął ją sam wypytywać, co się stało i wnet się dowiedział, że nieszczęśliwa niewiasta, mieszkająca w pobliskiej wiosce, pojechała rano z mężem do lasu po drzewo, gdzie biedny wieśniak został uderzony upadającym olbrzymim konarem i na miejscu został zabity. „Włożyłam męża na wóz, — kończyła kobieta — wiozłam do domu,

ale gdy mi wóz ugrzązł w trzęsawisku, więcej niż pół dnia stałam nad nim bez rady, a w domu, drobne dzieci, sieroty, czekają głodne na mój powrót!“

Dobry książę Stanisław pożałował wdowy serdecznie, upomniał, aby nie płakała i dał jej sporą sumę pieniędzy. żeby miała za co męża pochować, nadto rozkazał wóz z nieboszczykiem wywieźć na lepszą drogę i dopiero, spełniwszy ten miłosierny uczynek, pojechał dalej, błogosławiony przez pocieszoną wdowę. Wróciwszy do domu, zajął się znowu książę z wielką pilnością pisaniem swojego dzieła o śmiertelnej duszy ludzkiej. Aby nie mieć w pisaniu przeszkody, rozkazał dworzaninowi czuwać w przyległym pokoju i nikogo do siebie nie wpuszczać.

Następnego wieczora, po powrocie z Warszawy, zasiedział się książę nad pisaniem kawał w noc. Była już może północ, gdy naraz posłyszał za sobą lekki szelest; sądząc, że to czuwający dworzanin wszedł do pokoju, odwrócił się niezadowolony, że mu przeszkodził. Ale jakież było zdumienie księcia Stanisława, gdy ujrzał przed sobą owego wieśniaka, którego dnia poprzedniego, jako nieboszczyka widział na wozie i kazał z trzęsawiska wydobyć.

— Czego żądasz odemnie, jak się tu dostałeś, kiedy nie wolno nikomu do mnie wchodzić, gdy piszę? — zawołał zmieszany książę, bo nie rozumiał, jakim sposobem ten, który już nie żył, mógł przyjść do niego!...

— Duchem jestem — odparł wieśniak — więc dla mnie nie istnieją żadne drzwi, ni stróże. Przysłano mnie zaś do ciebie, abym ci podziękował, żeś kazał ciało moje z błota wydobyć, oraz, żeś nie szczędził pociechy i pomocy mej żonie, która bez twoich pieniędzy, nie byłaby mnie miała za co pochować.

— Jakto! Więc tyś pochowany, a mimo to, przyszedłeś do mnie? — spytał coraz więcej pomieszany książę.

— Jak widzisz. Ciało moje leży w grobie, a tu przed tobą stoi duch nieśmiertelny, który ciało niedawno ożywiał, a który nigdy nie umiera. Zaprzestań przeto twojego grzesznego pisania, bo sam jesteś w błędzie i drugich w błąd wprowadzisz. Wierz i bądź przekonany, że dusza ludzka żyje po śmierci człowieka, bo ją Pan Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje, jest nieśmier-

telną. Dusza ludzka jest duchem, przeznaczonym do życia wiecznego. Pamiętaj!...

Domówiwszy tych słów, nieboszczyk zniknął, a książę Lubomirski długą chwilę siedział, zdumieniem i przestrachem do miejsca przykuty. Nareszcie wezwał dworzanina i rzekł:

— Dlaczego wpuściłeś tego wieśniaka, kiedy sam być chciałem?

— Jakiego wieśniaka, miłościwy książę? — pytał zdumiony dworzanin.

— Tego, który przed kilku minutami wyszedł odemnie; musiał przechodzić przez pokój, w którym czuwasz.

— Miłościwy panie, nikt nie przechodził przez pokój, ani wychodził od księcia — zarzekał się dworzanin. — Żaden wieśniak dziś w pałacu nie był, ani żądał księcia widzieć; teraz noc głęboka, bramy i drzwi pozamykane, nikt wejść nie mógł, a w pałacu wszyscy pogrążeni we śnie.

Książę odprawił dworzanina, bo przekonał się, że ten nic nie widział. Lecz zjawienie się nieboszczyka, które widocznie dla niego tylko było przeznaczone, głęboko przejęło księcia Stanisława, które uznał jako przestrogę, zesłaną mu przez Boga. Zaprzestał więc dalszego pisania o śmiertelnej duszy, a to, co już napisał, w ogień wrzucił, aby śladu nie zostało z bezbożnej nauki, którą się zajmował. Pragnąc zaś przebłagać Pana Boga za swoje niedowiarstwo, ślubował pielgrzymkę do Rzymu.

Jakoż niebawem wybrał się do stolicy chrześcijaństwa, przybywszy do Rzymu, odprawił z wielką skruchą szczerą spowiedź i otrzymał rozgrzeszenie od Papieża Inocentego XI. Pragnąc zaś zadosyć uczynić za swoje grzechy, postanowił wybudować w swoich dobrach czerniakowskich klasztor i kościół. Ojciec święty pochwalił bardzo pobożny zamiar księcia Lubomirskiego i darował mu do mającego się wznieść kościoła relikwie św. Bonifacego, męczennika.

Do dnia dzisiejszego wznosi się w starożytnym Czerniakowie pod Warszawą wspaniały kościół, bogato zewnątrz i wewnątrz przyozdobiony, ufundowany przez księcia Stanisława Lubomirskiego, którego grób nosi napis: „Tu leży grzesznik, fundator tego kościoła“. Pod wielkim ołtarzem tego kościoła wybudowana jest osobna kaplica,

w której mieści się trumna, wspaniale rzeźbiona, zawierająca relikwie św. męczennika, darowane księciu przez Papieża. Świątynia owa i relikwie przypominają zdarzenie tu opowiedziane, a dowodzą one bardziej jeszcze, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, że razem z człowiekiem nie umiera, ale żyje na wieki.

Jak ciężkie są męki czyścowe.

Seneka, sławny filozof starożytności mówi, że człowiek mądry nie upada na duchu w cierpieniach tego życia, bo jeżeli one są małe, łatwo je znieść, jeżeli wielkie, to krótko trwają. Niestety! nie można tego powiedzieć o cierpieniach czyścowych, bo są i długie i ciężkie. W czyścu godziny wydają się dniami, dnie miesiącami, miesiące latami a lata wiekami. Tomasz à Kempis mówi, że tam jedna godzina męki wydaje się cięższą, niżeli tu sto lat najsroższej pokuty.

W pamiętnikach Ojców Kapucynów, z roku 1618, znajdujemy dziwną historyę o tym przedmiocie.

Ojciec Hipolit Scealvo, wielki sługa Boży, gorliwym był bardzo o zbawienie bliźniego i o ratowanie dusz w czyścu cierpiących. Modlił się za nie gorąco, zadawał sobie różne umartwienia i często miewał kazania o cierpieniach przyszłego żywota, aby zachęcić wiernych do wspomagania tych biednych dusz. Pobożny ten kapłan poświęcał im zwyczajnie pierwsze godziny każdego dnia. Wstawał pierwej od wszystkich i odmawiał Oficyum za umarłych; oprócz tego, w ciągu dnia różne dobre uczynki za nie ofiarował. Nie miał wszakże o czyścu prawdziwego wyobrażenia; ale to, co mu się później wydarzyło, dało mu pojęcie o nim.

Ojciec ten posłanym był do Flandryi z tytułem komisarza generalnego, dla założenia tam kilku klasztorów Kapucynów, którzyby cnotami i pracą apostolską utrzymywali wiarę świętą w tym kraju zewsząd herezyą zarażonym. Gdy dokonał swego posłannictwa, zatrzymano go w jednym z tych klasztorów na urzędzie gwardyana i mistrza nowicyuszów. Spełniał jak najstaranniej swe nowe

obowiązki, kształcąc tych młodzieńców we wszystkich cnotach, właściwych ich stanowi.

Jeden między nimi, który szybko postępował na drodrze doskonałości zakonnej, w pierwszym roku nowicyatu zdjęty nagłą chorobą, zbliżał się do grobu. Na nieszczęście, ojciec Scealvo nie był obecnym w tej chwili i nie mógł dać ostatniej absolucyi i błogosławieństwa umierającemu, co przyjęło dobrego o. Gwardyana najżywszą boleścią. Tegoż właśnie wieczora wrócił do klasztoru i następnej nocy, według zwyczaju, zostawszy po jutrzni w kościele, modlił się gorąco za duszę zmarłego brata. gdy ten znagła staje przed nim w ciemno-jaskrawych ognistych płomieniach, a zwracając się do swego dawnego przełożonego, jęcząc boleśnie, wyznaje jedną małą winę, którą przeciw ustawie zakonnej popełnił.

— „O mój ojcze, rzecze mu: tyś pełen miłości bliźniego! daj mi twoje błogosławieństwo, abym był uwolniony od tej winy, za którą cierpię; ty sam, ojcze, naznacz mi pokutę, a Pan Bóg w miłosierdziu swojem przyjmie ją na dopełnienie mego oczyszczenia“.

Zakonnik tak był przerażony tem zjawiskiem, że stał jak skamieniały, a chcąc prędzej skończyć tę rzecz, odpowiedział z pośpiechem:

— „Z głębi serca, synu mój, rozgrzeszam cię i błogosławię; co zaś do pokuty, ponieważ mię zapewniasz, że mam prawo naznaczyć ją, będziesz w czyścu do primy“ (pierwsza godzina modlitw kapłańskich, którą się odprawia około ósmej rano). Ograniczając się temi kilkoma godzinami, mąż święty mniemał, że jest wielce pobłażliwym. Ale nie takie było przekonanie zmarłego brata: bo na tę odpowiedź, jakby piorunem rażony, w rozpaczy biegał po kościele krzycząc:

— „O serce bez litości! O ojcze bez miłosierdzia nad zbolałym synem! Czyż można taką dać pokutę za małą winę! Czyliż nie wiesz, jak straszne są męki ognia czyścowego! O serce bez litości!“ Potem widzenie znikło.

Ojciec Gwardyan struchlał cały; włosy mu powstały na głowie; żal, zdziwienie, bojaźń rozdzierały jego duszę... Szukał sposobu cofnienia tego wyroku i nie wiedział co ma czynić; gdy Pan Bóg podał mu myśl dobrą: biedz do dzwonka klasztornego i zwołać zakonników do kościoła.

Gdy się zebrali w tej niezwykłej godzinie, opowiedział im, co mu się zdarzyło i prosił, aby natychmiast primę śpiewali, co wraz uczynili. Ale przez dwadzieścia lat, jakie żył jeszcze, nigdy nie zapomniał tego widzenia, ciągle o niem myślał i w kazaniach swoich powtarzał to słowo świętego Anzelma: „Po śmierci najmniejsza kara czyścowa większą jest nad wszelkie cierpienie, jakie tu sobie wyobrazić można“.

(Marcellin de Macon, Annal. Capuc. t. 3, an. 1618, nr. 13).

Okropne skutki pijaństwa i złego przykładu.

Przed jedną z chałup wsi Andrzejowa, w powiecie radzyńskim, zebrała się liczna gromada kmiotków, usiłujących gwałtem dostać się do izby, skąd dochodził rozdzierający krzyk małego dziecka, pomieszany z narzekaniem kobiety i jakimś drugim chrapowatym głosem, połączonym z silnem szamotaniem i odbijaniem wymierzanych razów.

Drzwi chaty chociaż zamknięte wewnątrz na zasuwkę, uledz musiały nakoniec sile nacierających, a razem z upadnięciem ostatniej zapory, okropny i haniebny obraz odsłonił się oczom patrzących.

Na środku izby z rozczochranemi włosami, w poszarpanej odzieży leżała młoda kobieta, trzymając wychudłemi rękami małe niemowlę, którem się zastawiała przed razami, jakie na nią wymierzał wieśniak z obłąkanym wzrokiem, w którym łatwo się można było domyśleć męża tej nieszczęśliwej. Obelżywe wyrazy i okropne przekleństwa dobywały się z ust tego nędznika, któremu wódka przytomność odebrała.

Izba, w której się odbywała owa oburzająca scena, przedstawiała widok najstraszliwszego nieładu: potłuczone sprzęty i gliniane naczynia leżały bezładnie pomieszane jedne z drugiemi na ziemi, obok napół rozwalonego komina; w drugim zaś jej końcu na ławie pod oknem stała ośmioletnia dziewczynka, co z obojętnością odwróciwszy pyzatą twarzyczkę od bijących się rodziców, z największym

smakiem wysączała resztę kropel wódki z prostej zielonej flaszki.

Czas też już było pospieszyć na pomoc nieszczęśliwej matce, bo zmęczona bólem ciała i wzruszeniami ducha, bez przytomności potoczyła się pod ścianę, wypuszczając z objęć biedną, krzyczącą dziecinę.

Jedna z przybyłych kobiet wzięła się do ratowania zemdlonej, podczas gdy inni wieśniacy z oburzeniem łajali okrutnika, zmieszanego widocznie niespodziewanem ich nadejściem.

Podobne sceny zbyt często ze zgorszeniem wsi całej powtarzały się w chacie, do której wprowadziliśmy czytelnika. Mieszkańcem jej był Bartłomiej Siewruk, jeden z najzamożniejszych niegdyś gospodarzy. co wskutek nieszczęśliwego nałogu pijaństwa straciwszy bogatą spuściznę ojcowską. teraz w gorzałce szukał ulgi przeciw dręczącym wyrzutom sumienia.

Żona jego trzeźwa i pracowita niewiasta, z bólem serca widząc niechybną zgubę, wiszącą nad losem całej rodziny, o ile mogła, starała się własną pracą uchronić od gnębiącego niedostatku dwoje małych dzieci, jakiemi ich Bóg obdarzył. Codziennie widziano ją od świtu do zmroku pracującą w polu lub ogrodach dworskich, podczas gdy mały Bartoś, którego wszędzie z sobą nosiła, bujał się w płachcie zawieszonej u płota, a jego siostra, ośmioletnia Anusia, wyśpiewywała wesoło, strzegąc na miedzy jedynej krówki, pozostałej z licznego niegdyś dobytku.

Ta to krówka stała się powodem wyżej opisanego, nieludzkiego obejścia Bartłomieja z żoną; gdy tenże zadłużył się w karczmie, kiedy mu już na kredyt wódki dawać nie chciano, powziął zamiar sprzedania poczciwej Sadułki, pomimo płaczu i próśb biednej kobiety i upłaciwszy jakąś część należności karczmarzowi, użyć reszty na zaspokojenie swego nieugaszonego pragnienia.

Niedługo potem biedna Siewrukowa, pozbawiona tej ostatniej pomocy w gospodarstwie, doznając coraz gorszego obejścia się męża, zapadła ciężko na zdrowiu i skonała samotnie, bez ratunku, rzucając wejrzenie rozpaczy na swoje dzieci, których los w tej ostatniej chwili wydał się jej jeszcze okropniejszy.

Mała Anusia, której się to jakoś dziwnem wydawało, że matka choć ma otwarte oczy, nie porusza się na łóżku i na krzyki Bartosia wcale się nie odzywa, porwawszy go na ręce, wybiegła na wieś do swej chrzestnej matki, prosząc o trochę mleka dla płaczącego brata. Z kilku słów dziewczęcia domyśliła się poczciwa wieśniaczka, co znaczyła osłupiałość Siewrukowej, a skoro wszedłszy do chaty, przekonała się naocznie o jej śmierci, pobiegła natychmiast zanieść tę smutną nowinę ojcu nieszczęśliwych sierot.

Było to nad zachodem słońca; Siewruk wracał właśnie z pola i zostawiwszy woły przed karczmą, wszedł do izby, ażeby, jak powiadał, utopić kłopot w kieliszku. Na wieść o śmierci żony, powlókł się do chaty, gdzie na samym wstępie został uderzony widokiem, który pomimo bydlęcego opilstwa, rozdarł mu serce na chwilę. Poczciwa jego żona leżała bez życia na słomie, Bartoś czerwony z płaczu, okropnym krzykiem napełniał izbę, a mała Anusia nie pojmując swego sieroctwa, gryzła kawał suchego chleba, z zadziwieniem spoglądając na zmarłą matkę.

Zbiegli się litościwi sąsiedzi dla oddania ostatniej posługi nieboszczce, wnosząc ze szczerego żalu, jaki uważali w Bartłomieju, że go ten smutny wypadek zdoła odwieść nakoniec od jego zgubnego nałogu.

Lecz mylną była nadzieja poczciwych ludzi, gdyż zamiast poprawy po śmierci żony, z większą jeszcze oddał mu się pochopnością aż do zgonu, który sam sobie przyśpieszył złem życiem. Umarł, nieżałowany od nikogo, w opuszczeniu i nędzy, pozostawiając biedną Anusię samą jedną na świecie, bo mały jego synek wkrótce za matką przeniósł się do lepszego życia.

Anusia jeszcze była bardzo młodą, zostawszy sierotą; natura nie odmówiła jej urody i zdrowia, a zręczność i chęć do pracy pozyskały jej ogólną przychylność. Lecz na nieszczęście od najmłodszego wieku patrząc na zły przykład własnego ojca, namiętnie polubiła wódkę. Szkaradny ten nałóg mniej był widocznym, dopóki będąc dziewuchą, pozostawała w służbie; lecz gdy pomimo jej ubóstwa, Goworczuk, syn bogatego gospodarza z tej samej wioski, znęcony jej skrzętnością i urodą, pojął ją za żonę, haniebne pijaństwo rozwinęło się w niej z równą gwałtownością, jak niegdyś w jej ojcu.

Kłótnia i nieład wkradły się do chaty Goworczuka, Anna straciła dawną chęć do pracy, a nieszczęśliwy jej mąż po kilkuletniem najniezgodniejszem z nią pożyciu, umarł, przeklinając chwilę, w której powziął zamiar ożenienia się z pijaczką.

Po jego zgonie, Anna pozbywszy się ostatniej przeszkody, powstrzymującej zgubne upodobanie do trunku, bez względu na pozostałe dzieci, dopóty marnowała mienie zmarłego męża, dopóki nie uległa najokropniejszemu niedostatkowi, który ją zmusił do szukania służby wśród obcych i wnet też poszła w służbę za dziewkę do sołtysa rodzinnej swej wioski.

Ale ubóstwo nie poprawiło nieszczęśliwej, a uczciwy sołtys patrząc na jej złe postępowanie, już tylko przez wzgląd na dzieci trzymał ją w swym domu. Cała wieś gorszyła się pijaństwem Anny, wróżąc jej, jak niegdyś ojcu, najopłakańszą przyszłość. Przepowiednia ta miała się wkrótce sprawdzić w najokropniejszy sposób, jak to dalej zobaczymy.

Pewnego wieczora sołtys wracając do domu, ujrzał z zadziwieniem, że kilkoro prosiąt, które zwykle zamykano w tej porze, stało zgromadzone pod szopą, pożerając coś z wielką chciwością. Zbliżył się tedy, chcąc zobaczyć, coby to było i z największem przerażeniem ujrzał Annę bez przytomności leżącą na ziemi, której żarłoczne zwierzęta wygryzły już całą twarz z prawej strony, nie oszczędzając oczu i nosa. Zgrozą przejęty, przy pomocy zwołanej czeladzi, przeniósł zeszpecone jej ciało do izby, gdzie natychmiast udzielono jej ratunku, ale wszystkie usiłowania co do zachowania jej życia okazały się bezskutecznemi.

Anna żyła jeszcze wprawdzie noc całą, a chwilowo odzyskawszy przytomność, pytała, kto ją tak zbił straszliwie (gdyż sądziła, że ból jej pochodził od bicia). Nazajutrz została odesłaną do szpitala pobliskiego miasteczka, lecz w drodze zakończyła nędzne życie, pozbawiona świętej pociechy religijnej, pozostawiwszy okropne wrażenie na świadkach swej śmierci.

Nieszczęśliwe dzieci Anny Goworczuk, które znalazły przytułek u litościwych mieszkańców wioski rodzinnej, nie przestały budzić powszechnego zajęcia i jest nadzieja, że

wspomnienie okropnego końca matki, uchroniło je w dalszym wieku od strasznego nałogu pijaństwa.

Wierny opis tego wypadku, podanego w pismach publicznych przed 30 laty, powinien także silnie przemówić do serc wszystkich rodziców, przypominając im święty obowiązek, dobrego przykładu swym dziatkom, za których prowadzenie zostaną wezwani kiedyś do złożenia rachunku przed Bogiem.

Kuchcik malarzem.

Razu pewnego na dziedzińcu biskupiego pałacu w Krakowie rozlegały się krzyki niesłychane. Słychać było głośne nawoływanie, przekleństwa, bicie i lament dziecka.

Andrzej Załuski, Biskup ówczesny, wracał właśnie do swego pałacu, lecz usłyszawszy gorszące krzyki, minął schody prowadzące do pokoi i wszedł na dziedziniec, aby się przekonać o co chodzi.

I oto ujrzał swego kucharza bijącego nielitościwie chłopczynę. kuchcika, jak to poznać było można na pierwszy rzut oka po białym fartuchu, którym dzieciak był opasany.

— Macieju, daj pokój! — ozwał się naraz donośny głos Księdza Biskupa.

Maciej posłyszawszy wołanie, puścił swoją ofiarę.

— Jak można tak katować dziecko! ozwał się znowu Biskup tonem nagany.

Najprzewielebniejszy księże Biskupie, nie mogę rady dać nicponiowi, usprawiedliwiał się Maciej sapiąc z gniewu i umęczenia.

— Cóż ci zawinił? — pytał ksiądz Biskup, spoglądając na winowajcę, który usiłował powstrzymać głośny płacz.

Biedny dzieciak wyglądał okropnie. Twarz całą miał osmoloną, widocznie brudnymi palcami ocierał łzy, to też posmarował sobie policzki w czarne smugi.

Pomimo brudnej twarzy. rozrzuconych włosów i nędznego ubrania, chłopczyna nie wyglądał na nicponia. jak go przed chwilą nazwał gniewny Maciej; oczy dziecka spoglądały smutnie lecz rozumnie, a rozumne wyglądanie nadawało mu wysokie czoło.

— Proszę Waszej Miłości! — mówił kucharz — nie mam żadnej posługi z chłopaka, bo on jeno cały dzień smaruje ściany węglem. Oto posłałem go po masło do gospodyni, a nicpoń zamiast wykonać moje polecenie, uchwycił węgiel i zasmarował nim całą ścianę.

Mówiąc to ukazywał ręka białą ścianę pałacu biskupiego zasmarowaną nielitościwie węglem.

— Smaruje tak wszystkie ściany na dziedzińcu i na korytarzach. Przed kilkoma dniami pobielono je na nowo, a oto! poszpecił je hultaj swymi malunkami.

Biskup, słuchając opowiadania, przybliżył się do ściany wskazywanej przez Macieja, jak gdyby chciał przyjrzeć się dokładnie rysunkowi.

Na ścianie widniał kościół, a jakkolwiek pospieszna robota pozostawiała wiele do życzenia, to przecież można było poznać, że nieuczony artysta chciał przedstawić kościół św. Stanisława na Skałce. Ku kościołowi zbliżała się uroczysta procesya. Pod baldachimem szedł Biskup, a w długim orszaku znajdowali się duchowni, rycerze i tłumy ludzi. Ksiądz Biskup patrzył czas jakiś na zarysowaną ścianę lecz zamiast kuchcika wyłajać za próżniactwo i szpecenie ścian, zwrócił się do winowajcy z zapytaniem:

— Jaka to uroczystość obchodzić się będzie w kościele na Skałce?

Pytanie ks. Biskupa wprawiło w zdumienie nie tylko rozgniewanego Macieja, nietylko służbę zebraną licznie na dziedzińcu, ale i małego malarza. Czuł się winnym, to też z niepokojem oczekiwał nagany, a zamiast tejże posłyszał zapytanie, wypowiedziane bez cienia gniewu.

Chłopczyna ochłonąwszy ze strachu i podziwu odparł nieśmiało:

— Na Skałkę idzie procesya, odbywająca się zawsze przed koronacyą nowego króla.

Trzeba bowiem wiedzieć, że polscy królowie zachowywali ten zwyczaj, iż dzień przed koronacyą udawali się z licznym orszakiem na Skałkę do kościoła św. Stanisława. Król nim ozdobił głowę koroną, modlił się kornie w kościele, w którym Bolesław Śmiały, popełnił morderstwo, które sprowadziło szkodliwe następstwa nie tylko na głowę ukoronowanego zbrodniarza, lecz i na kraj cały. Zdaje się, że polscy królowie w przeddzień koronacyi modlili

się na Skałce o taką moc duszy, którąby im pozwoliła zapanować nad gniewem i pychą, przez gniew bowiem i pychę stał się Bolesław Śmiały zbrodniarzem.

Otóż uroczystą procesyę, poprzedzającą koronacyę, wyrysował kuchcik na ścianie biskupiego pałacu.

Biskup posłyszawszy odpowiedź chłopca, z większem jeszcze zajęciem wpatrywał się w pochód procesyonalny.

— A czy widziałeś kiedy tę uroczystość? — zapytał po chwili.

Chłopiec ujęty dobrocią i łagodnością Biskupa odpowiedział śmiało:

— Nie widziałem, lecz ojciec mój widział, był nawet na procesyi i tyle razy nam o niej opowiadał, że spróbowałem ją odrysować.

— Więc ty lubisz rysować? — pytał znowu ksiądz Biskup.

— O! i bardzo.

— A umiesz czytać?

— Nauczyłem się czytać na historyi świętej i teraz zawsze modlę się z książki.

Ksiądz Biskup chwilę jeszcze patrzył na zarysowaną ścianę, wreszcie powiedział:

— Żebyś mi więcej ścian węglami nie smarował, oddam cię do szkoły, tam nauczą cię wielu rzeczy pożytecznych, nauczą cię pięknie rysować i malować. Gdy zdolności, które ci Bóg dał, zbogacisz nauką, wymalujesz obraz święty do ołtarza, przed którym wszyscy modlić się będziemy.

— Macieju! od dnia dzisiejszego uwolnij chłopca od posługi w kuchni. A ty malcze idź obmyj się, przyodziej lepiej i przyjdź na moje pokoje.

Słowa Biskupa wprawiły w radośne osłupienie zamorusanego kuchcika, nim oprzytomniał, nie było już nikogo na dziedzińcu pałacowym. Chłopiec po chwili przypomniał sobie polecenie księdza Biskupa, to też nie tracąc czasu umył się, uczesał, a gdy kończył się ubierać, nadszedł dworzanin księdza Biskupa, który nieśmiałego kuchtę poprowadził na biskupie pokoje.

Zacny kapłan przyjął dobrotliwie swego kuchcika i jął go rozpytywać o rodzinę.

Chłopiec opowiedział, że nazywa się Tadeusz Konicz, że ojciec jego jest mieszczaninem z Kleparza, ale mając liczną rodzinę oddał starsze dzieci na służbę; Tadeusza wziął Maciej do kuchni biskupiej.

Ksiądz Biskup obietnicy dotrzymał. Posłał chłopca najpierw do szkół krakowskich, a następnie do Rzymu, aby się tam wydoskonalił w malarstwie.

W ten sposób niedbały kuchcik zamienił się w dobrego malarza, który kościoły krakowskie przyozdobił obrazami swego pendzla.

SIEROTA.

Przy kościołku na cmentarzu
Klęczy dziecię nad mogiłą.
Łezki z oczu ocierało,
Słabym głosem zawodziło.

Matuś moja! moja mamo!
Czemużeś mię porzuciła?
Czyś się na mnie rozgniewała,
Czym cię kiedy obraziła?

Śpisz tam w ziemi — pod mogiłą...
Powiedz do mnie, choćby słowo.
Czy nie słyszysz swej Marysi? —
Płacząc biło o grób głową.

Jam cię nigdy, nigdy darmo
O zabawkę nie prosiła,
Com zachciała, wszystkoś dała,
Zawsześ ze mną się pieściła.

Czemuż teraz nie powstaniesz,
Nie utulisz dziecka twego?
Wszak tak modlę się i płaczę...
Lub też weź do grobu swego...

Kto mię teraz ucałuje,
Kto sukienkę mi uszyje,

Kto pacierza mię nauczy,
Kto uczesze i umyje?

Ludzie mówią, żeś umarła,
Że już nigdy nie powrócisz.
Czy ci nie żal twego dziecka,
Gdy mię samą tak porzucisz?

Jak tu straszno na cmentarzu...
Chodź do domu!... jak tu ciemno.
Moja mamo, okryj szatą,
Bo mi bardzo, bardzo zimno.

Wstałaś przecie — moja droga...
Brzydka szata, straszna, biała!
Czemuś taka jak lód zimna?
Ogrzej, przytul, bo drżę cała...

Matuś moja — nic nie mówisz?
Otwórz oczka, popatrz mile
I ucałuj córkę twoją —
Niech popieszczę się, choć chwilę.

Tak! tak! jakaś, mamo, dobra...
Tak mi ciepło... tak przyjemnie...
Tylko nie rzuć mię już samą
Ach! nie odchodź już bezemnie.

Wołasz z sobą? dobrze... idę...
Bądźcie w wiosce zdrowi moi!...
Ja odchodzę het... daleko!...
Do... matusi... idę... swojej...

Wyjrzał księżyc z poza chmury,
Nad krzyżami jasno świeci,
Na mogile krzyż objąwszy,
Leży w śniegu zmarłe dziecię...

Bóg nad biedną się użali
Śnieg całunem ją otuli
Już nie płacze, nie zawodzi —
Poszła... do swojej matuli.

Po czem poznać wieś gospodarną.

Kto przejdzie lub przejedzie przez wieś a znajdzie drogę pełną wyboi, kałuży, błota i śmieci, ten odrazu widzi, że gospodarze nie troszczą się ani o swoje sprzęty, to jest wozy, dobytek i czas zmarnowany na próżno. Taki więc przechodzień widzi, że wieś podobna zamieszkała jest przez gospodarzy l a d a j a k i c h, niedbałych, leniwych.

Dalej, kto zobaczy we wsi chaty i budynki odrapane, z dziurami w poszyciu, bez tabliczek od zabezpieczenia od ognia, ten widzi, że tu zamieszkują ludzie l e k k o m y ś l n i i o dobro swoje własne niedbali.

Jeżeli zaś jeszcze do tego ujrzy, jak woda z kałuży lub gnojowni ścieka do studni, skąd pije bydło i ludzie, to już z odrazą odwróci głowę od obejścia i od wsi takiej, bo widzi, że mieszkają tu ludzie, dla których obojętnem jest nie tylko zdrowie własnego dobytku, ale nawet życie własnej rodziny.

Gdzie taki porządek, a raczej nieład, niechlujstwo we wsi panuje, tam cholera, ospa, dyfterya, tyfus i tym podobne choroby są częstym gościem, i sowity haracz rok rocznie z pośród mieszkańców wybierają. Nie wspominamy więc już o bielonych ścianach, o kwiatkach w oknach, lub ogródku przed domem w podobnej wsi, bo toby znaczyło tyle, co szukać perły na śmiecisku.

Jakże zaś innym przedstawia się obraz wsi, gdzie droga wywieziona żwirem, gdzie podwórka czyste, chaty bielone, budynki w porządku utrzymane, dachy całe, okienka w chatach z szybami czystemi i całemi, nie zatykanemi wiechciami lub szmatą, w których nie rzadko spotkać firaneczki i kwiatki, a przed domem umieciono i piaskiem posypano.

Studzienka w takiej wsi jest ocembrowana i żwirem podsypana, aby woda z powrotem do niej nie ściekała. Dziatki umyte, uczesane, idące do szkoły, witają przechodnia chrześcijańskiem pozdrowieniem w imię Boga. Na domkach nie rzadko widać tabliczkę przybitą z oznaczeniem, że dom i budynki i całe mienie ubezpieczone jest od pożaru. Tam widać, że m i e s z k a ń c y t e j w s i są l u d ź m i, gospodarzami praktycznymi, zapobiegliwymi i dbałymi o zdrowie swoje, rodziny, dobytki, o mienie całe.

Skąd bierze się sól?

(POGADANKA NAUKOWA).

Sól znajduje się rozpuszczona w wodzie, albo w wielkich bryłach spoczywa w głębi ziemi.

Najwięcej soli jest w wodzie morskiej, która jest słoną, niezdatną do picia; są także jeziora słone i źródła wody słonej tryskają z ziemi.

Ludzie, mieszkający nad brzegami mórz, otrzymują sól z wody morskiej, a mają do tego parę sposobów. Mieszkańcy ciepłych krajów zbierają wodę morską do płytkich sadzawek, gdzie woda na słońcu wysycha, czyli paruje, a sól z niej osiada. Sól te długiemi łopatami zbierają, składają na kupki dla wysuszenia, a następnie pakują w beczki.

W krajach zimnych mieszkańcy postępują całkiem przeciwnie. Na brzegu morza robią doły, w które woda morska napływa i zamarza. A trzeba wiedzieć, że jeśli woda morska zamarza, to marznie sama woda, a sól z trochą wody zostaje pod lodem. Gdy więc woda morska zamarznie, wyrąbują i odrzucają lód, z podspodu zaś wybierają gęsty roztwór solny, który jeszcze raz zamrażają. Poczem otrzymuje się roztwór tak gęsty, że byle go trochę wygotować, to zaraz sól się osadza. Tak to rozumni ludzie umieją sobie zawsze poradzić: w ciepłych krajach zużytkowują ciepłość słońca do otrzymania soli; w innych zmuszają mróz, żeby dla nich sól z wody morskiej oddzielał.

Prócz otrzymywania z wody morskiej, sól wydobywa się w wielu miejscach z jezior słonych, a także ze źródeł słonych, czyli z solanek. Zwykle w takich miejscach powstają zakłady lecznicze, gdyż kąpiele słone, oraz picie słonej wody okazują się zbawiennemi w wielu chorobach, szczególniej dla dzieci skrofulicznych.

Z solanki można także sól wydzielać. W tym celu w miejscu przewiewnem buduje się bardzo wielkie rusztowanie drewniane, napełnione chróstem. Na wierzchu tego rusztowania znajduje się koryto z dnem, posiadającem otwory. U spodu jest zbiornik. Na wierzchu rusztowania,

do koryta górnego zapomocą maszyny ściąga się solankę ze źródła. Spływając po gałeziach chróstu rozbija się roztwór solny na cienkie smugi i krople, które wiatr w znacznym stopniu wysusza. Gdy więc solanka dojdzie do zbiornika na dół, ma już w sobie mało wody, a dużo soli. Wtedy rurami sprowadzają ją do kotłów i w nich ją wygotowują, otrzymując tym sposobem **sól warzonkę.** Te rusztowania drewniane noszą nazwę **tężni.**

Najwięcej jednak soli wydobywa się z ogromnych mas solnych, z pokładów soli, znajdujących się w wielu miejscach w głębinie, a czasem na powierzchni ziemi tworzących góry solne. Niedaleko miasta Orenburga w Rosyi jest góra solna mająca 2 wiorsty wysokości i wiorstę szerokości.

Wydobywanie soli z takich gór jest nadzwyczaj łatwem: wyrąbuje się sól kilofami (drągami żelaznymi) tak, jak zwykłe kamienie.

Trudniejszem jest kopanie soli w głębi ziemi, bo wtedy trzeba zakładać **kopalnię soli.**

Jedna z największych i najpiękniejszych kopalń w Europie jest w Wieliczce, niedaleko Krakowa.

Podanie głosi, że kopalnię tę odkryła święta Kunegunda, blizko siedemset lat temu. Święta ta rzuciła pierścień swój i w tem miejscu kazała kopać, jakoż robotnicy wykopali wielką bryłę soli, a w niej pierścień królowej. Od tej pory po dziś dzień czerpią z kopalń wielickich nieprzebrane ilości soli. W ciągu wieków wykopano tam trzy piętra, składające się z wielu olbrzymich komór. Do wnętrza kopalni spuszczać się można windą, albo po schodach, które składają się z przeszło tysiąca stopni.

Posłuchajmy, jak opisuje kopalnię wielicką jeden podróżny.

„Daremniebym się silił opisać, jak dziwnie, ponuro a uroczyście wyglądają te ciemne sklepienia solne, popodpierane ogromnymi słupami z soli lub stosami pni drzewnych!

Światło słońca nie dochodzi tu nigdy; za sobą zostawiliśmy piękny poranek, a weszliśmy w wieczną, ponurą noc... Czy na dworze słota i burza, czy mróz lub skwar letni, tu zawsze jeden i tem sam chłód, powietrze czyste bez odmian i burz! Zamiast słońca i gwiazd, mi‘

gają tu blade kaganki robotników w ciemnych korytarzach i chodnikach, pnących się w górę po stromych urwiskach. Gdzie się tylko dotkniesz — wszędzie twarda kamienna sól: ściany z soli, podłoga z soli, sklepienia z soli.

Zaraz na pierwszem piętrze zwiedzieliśmy piękną kapliczkę świętego Antoniego. Stopnie, ołtarz, krzyż, świeczniki, ambona i posągi — wszystko z soli wykute. Odprawia się tu nabożeństwo dla górników, których zawsze kilkuset w kopalni pracuje. Rano spuszczają się oni do kopalni, a wieczorem dopiero wychodzą na wierzch i wracają do swoich rodzin. Sól wyrębują żelaznymi drągami lub rozsadzają prochem, a potem ładują w beczki.

Do pomocy przy kopaniu i zwożeniu soli znajduje się w głębi kopalni także pewna ilość koni, które tu żywią i które rzadko kiedy na górę wyciągają

Aby uwłatwić przewóz soli do szybu, skąd się winduje na górę, urządzone tu są szyny żelazne, po których konie ciągną wózki naładowane solą. W jednej z obszernych pieczar wybudowany jest nawet piękny dworzec kolejowy, który oświetlono różnokolorowemi lampami na nasze przyjęcie.

Prócz jazdy koleją, używaliśmy także przejazdki po wodzie, jest tam bowiem i wielkie podziemne jezioro, jest i prom dla podróżnych, a wszystko, oświetlone lampami i ogniami sztucznemi, wyglądało uroczo.

Gdyśmy już wracali na górę, spalono znowu w jednej nadzwyczaj wysokiej pieczarze prześliczne ognie sztuczne (kolorowe), których łoskot rozchodził się długiem echem po urwiskach. Potem zaprowadzono nas do obszernej sali z gładką drewnianą podłogą, gdzie nam muzyka górników zaczęła wygrywać ochocze tańce i poważne pieśni. Żal nam było porzucić te podziemne cuda, a gdy wyszedłem na świat, ujrzałem nagle słońce i odetchnąłem świeżem powietrzem — zdawało mi się, żem się ocknął ze snu cudownego“.

Oszustwa handlarzy koni.

Handlujący końmi bardzo często sprzedają wadliwe konie za dobre. Sposoby, jakimi się ku temu posługują, są nadzwyczaj urozmaicone, dlatego też przy kupnie konia należy być nadzwyczaj uważnym, ażeby zamiast dobrego konia, nie kupić niezdatnego do pracy i nie wierzyć pochwałom i zaklęciom handlarzy; potrafią oni bowiem sprzedać starego konia za młodego, chorego za zdrowego i nadzwyczaj zręcznie ukrywają ich wady.

Oto niektóre z tych oszukańczych sposobów:

Ażeby stary koń wydawał się młodym, handlarz wypala mu jamki u przednich zębów; dlatego też należy dobrze na nie uważać, ażeby nie wziąść wypalonych za prawdziwe, które bywają u młodych koni.

Ażeby koń wydawał się żywym i cokolwiek dzikim, handlarz musztruje go przed sprzedażą, tak, iż ten boi się i rwie na wszystkie strony, a skoro tylko handlarz machnie batem, wówczas wydaje się, iż konia trudno utrzymać. Łatwo to zauważyć, gdy handlarz bawi się batem, i tym sposobem konia drażni.

U starego konia warga często opada, handlarz zatem, ażeby tego znać nie było, podciąga ją niepostrzeżenie sznurkiem, przywiązanym do uzdy, albo przekłuwa igłą lub też smaruje czemś szczypiącem, a następnie przy sprzedaży dotyka bolącego miejsca ręką, ażeby koń wargę podnosił.

U starego konia wklęsłość nad oczyma bywa duża i głęboka. Żeby zatem nie była zbyt widoczną, handlarz czyni w niej małe przekłucie, wsuwa następnie słomkę lub piórko i nadyma skórę.

Konie ciemnej maści na starość siwieją, sprzedający zatem wyrywają siwe włosy lub też farbują je.

Ażeby ukryć rozmaite wady konia, handlarze używają tylu sposobów, iż wszystkich wyszczególnić niepodobna. Ażeby oporny koń wydawał się posłuszny wędzidłu, handlarz naciera mu dziąsła tłuczonem szkłem, od czego następnie dziąsła gniją. Jeżeli koń ma język uszkodzony, handlarz, ażeby ukryć to, szybko zań chwyta, jak gdyby dlatego, żeby lepiej pokazać zęby i pysk, to też należy

przy kupnie oglądać język i jeżeli na nim są rany lub też kawałka brak, to koń będzie mało żarł i będzie niezdolny do pracy.

Nierzadko nad ślepiami lub na szczękach końskich bywają szramy, handlarz przykrywa je grzywą, albo uzdą z szerokich pasów. Wyleniałe miejsca zakleja włosami, spuchnięte zaś przekłuwa i następnie tłomaczy, iż koń uderzył się o mur.

Gdy u konia krzyż silnie jest wklęsły, to go zawsze wyprowadzają na sprzedaż osiodłanym. A jeżeli ma brzuch wklęsły, to go przed sprzedażą karmią silnie osoloną sieczką, morząc go uprzednio głodem.

Spuchlizny na nogach przekłuwają, lecz dosyć jest dotknąć się takowych, aby zauważyć, że koń, mając słabe nogi, często na kolana upada.

Jeżeli koń kopyta ma popękane, handlarz zasmarowywa je maścią lub przeprowadza po błocie; dlatego też, kupując konia, należy bezwarunkowo obetrzeć kopyta mokrem płótnem, a wówczas dostrzedz łatwo miejsca zaklejone. Często koń ma raka na kopycie — choroba nadzwyczaj niebezpieczna — lub też kopyta mu gniją, — wówczas koń bywa podkuty grubemi podkowami z wysokiemi hacelami, ażeby podeszew nie dotykała ziemi, a i koń nie okazywał bólu; należy więc starannie obejrzeć spód kopyt. Jeżeli kopyto jest chorobliwie przerosłe, handlarz obstruguje je i zamazuje oliwą, ażeby błyszczało; jeżeli jest ono wązkie, podkuwa szeroką podkową i zamazuje tłuszczem, ażeby wydawało się szerokiem. W razie, gdy jest płaskie, okrawa z boków, następnie podkuwa z jednej strony, ażeby wydawało się okrągłem, z drugiej zaś daje wyższe hacele.

Najwięcej jednak sposobów używają handlarze, ażeby ukryć rozmaite choroby konia. Nawet zaraźliwą nosaciznę umieją oni ukryć. Trzeba jednak pamiętać, że u konia, dotkniętego nosacizną, gruczoły puchną, twardnieją, stają się wielkie, jak jaje gołębie i wydają się zrośnięte ze skórą. Te napuchnięte gruczoły handlarz naciera czemś gryżącem, ażeby puchlina była taką, jak przy mniej zaraźliwych chorobach, naprzykład przy zołzach — i tłómaczy, że koń ma zołzy, nie zaś nosaciznę.

U chorego konia bywa wysięk z nosa. Otóż, ażeby to ukryć, handlarz oczyszcza nozdrza konia, przemywa je

i, ażeby wysięk nie okazał się przy oględzinach, wdmuchuje mu w nos tabakę lub pieprz, od czego koń parska i wyrzuca całą zawartość z nozdrzy, w które następnie wpryskuje jakiś kwas, lub wpycha głęboko tłuczony węgiel, albo suchą gąbkę.

Ażeby kupujący nie zauważył ran w nosie, handlarze stawiają konia głową do słońca, lub też nakłóciem tak nieszczęsne stworzenie umęczą, iż nie da się ono dotknąć do łba. Chcąc się przekonać, że koń niema gąbki w nosie, należy przejechać nim kłusem, nie pociągając za lejce. Wówczas koń trząść się będzie i gąbka wypadnie.

Bywa i tak, że dla ukrycia rany w nosie, pochodzącej od nosacizny, robią w nim rozmaite zadrapnięcia, lecz te łatwo odróżnić. Rany, spowodowane nosacizną, są okrągłe i mają brzegi nierówne, jak gdyby powałkowane.

Ze świerzbą koni radzą sobie handlarze w następujący sposób: Gdy grzywa wskutek świerzby staje się rzadką, plotą ją w warkoczyki, dodając obce włosy. Toż samo czynią i z ogonem, lub też po prostu podwiązują pod ogon włosy innego konia. Jeżeli wskutek świerzby na skórze końskiej pojawiają się strupy, to je zeskrobują i po przemyciu zamazują oliwą i pokrywają sierścią, a gdy można, pokrywają uprzężą z frendzlami. Gdy bywają miejsca spuchnięte i strupy na zadzie konia, wówczas przykrywają je rzemieniem.

Spuchliznę od chomonta handlarz zwykle podaje jako odgniecenie, a jeżeli miejsce spuchnięte pęka i wydziela się materya, to ją zamazuje i pokrywa włosami grzywy.

Dychawiczne konie przed sprzedażą, przez 4 lub 5 tygodni karmi handlarz tylko owsem, a siana i wody daje bardzo mało, wskutek czego dychawica znacznie się zmniejsza; lecz wystarczy tylko nakarmić konia sianem, napoić i przejechać ćwierć mili — dychawica wnet powróci.

Konia złośliwego, takiego, który staje dęba i kąsa, chytry handlarz uspakaja głodem lub bezsennością kilkodniową. Gdy koń nie chodzi pod wierzchem, to handlarz próbuje go zawsze w zaprzęgu; gdy nie chce chodzić w parze — próbuje go bezwarunkowo samego: gdy koń nie chce iść pod górę, handlarz nie da go próbować na miejscu nierównem.

Oto są niektóre z głównych sposobów oszukańczych, używanych przez handlarzy; posiadają oni jednak jeszcze niemało innych, któremi starają się oszukać kupującego i sprzedać konia niezdatnego do użytku, jako dobrego.

RÓŻNE RADY POŻYTECZNE.

Domowe środki lekarskie.

Doraźny środek przeciw cholerze. Lekarze w Poznańskiem otrzymali od fizyków opis sposobu leczenia cholery, praktykowany przez profesora Dra Strampfe, który okazał się nader skutecznym nie tylko przy zwyczajnej cholerynie u dzieci i dorosłych, ale także i przy prawdziwej cholerze azyatyckiej.

Środkiem tym jest „biała glinka“ (Bolus alba), którą można nabyć w aptece.

Bierze się 100 gramów takiej sproszkowanej glinki, podaje się choremu łyżeczkami od kawy i to w ten sposób, że pierwsze dwie lub trzy łyżeczki chory połyka co 5 minut, resztę co 10 minut. Łyżeczki mogą być czubkowato napełnione.

Proszek podaje się albo zawinięty w opłatku, albo rozmieszany w wodzie. W tym drugim razie bierze się około 100 gramów świeżej wodociągowej lub przegotowanej i oziębionej wody, wsypuje się w nią łyżeczkę czubatą proszku i dobrze łyżeczką zamieszawszy, wypija się płyn jeszcze przez zamieszanie wirujący, aby jak najmniej z wsypanego proszku na dnie i ścianach naczynia pozostało.

Jeżeli zaś coś z proszku w naczyniu jednak się osadzi, to nie wylewa się tej resztki, ale po 5 do 10 minutach wsypawszy drugą porcyę, starać się trzeba, aby chory wszystko wypił.

Dzieciom podaje się odpowiednio do ich wieku mniejszą porcyę glinki.

Po zażyciu całych 100 gramów glinki nie trzeba przez 12 — 18 godzin podawać choremu pożywienia ani alkoholu.

Jako pierwsze objawy polepszenia następują wymioty, ból w brzuchu i chory uczuwa potrzebę snu.

Ponieważ ten środek nie zawiera żadnej trucizny, można go śmiało zastósować w danych wypadkach.

Krwawe wymioty, czyli krwotok z żołądka. Na okolice żołądka przyłożyć worek z lodem, a gdy go niema pod ręką, robić zimne okłady, do picia dawać zimną wodę lub kawałeczki lodu wielkości grochu do połykania.

Rady gospodarskie.

Tani ser. W Holsztynie, Meklemburgu, na Pomorzu i w innych sąsiednich prowincyach niemieckich, w których wyrób serów jest bardzo rozpowszechniony, przyrządzają tani ser z maślanki. Robienie sera z maślanki zasługuje na tem większą uwagę naszych ziemian, że do wyrobu służy materyał poboczny, nie mający u nas wielkiego znaczenia, i używany zwykle na pokarm dla nierogacizny i t. p. z uwagą, że z maślanki otrzymuje się sera stosunkowo więcej, niż z mleka niezbieranego.

Ser taki jest wcale dobry, tylko wydzielanie jest dość uciążliwe, a robi się go w sposób następujący: Do kotła wlewa się maślankę i doprowadza aż do zagotowania; w tej temperaturze utrzymuje się ją przez 5 do 10 minut. Jeżeli maślanka nie jest kwaśną, to na kilka godzin przedtem trzeba do niej dodać nieco kwaśnego mleka.

Po ugotowaniu wlewa się całą masę do naczynia drewnianego, w którem się ją zostawia, dopóki twaróg nie osiędzie na dnie, poczem serwatkę się zlewa, a twaróg wsypuje się do worka płóciennego, by serwatka odciekła, albo też wyciska się pod prasą. Twaróg, pozbawiony w ten sposób serwatki, wrzuca się do szaflika, dusi dobrze rękami i odstawia na jedną dobę do spiżarni. Skoro twaróg stężeje, wtedy się go soli, miesza z kminkiem i nadaje mu się formę niedużych serków okrągłych.

Co szkodzi kurom? Pietruszka, fusy od kawy i sama kawa są dla kur trucizną. Ciągnienie i targanie kur za ogon, jest także dla nich nader szkodliwem, równie też zlatywanie, czyli spadanie ze zbyt wysokich żerdzi, wreszcie dziubanie wszelkich skorup od jaj, a szczególniej własnych.

Młody drób dwom szczególniej podlega chorobom. Jednej, gdy im piórka w ogonie wyrastać poczynają, a drugiej, gdy się im grzebienie pokazywać zaczynają.

W jednym i drugim razie potrzeba im ciepłego utrzymania, dobrego jadła i suchego kurnika, bo wtedy szczególnie im wilgoć szkodzi. Nie trzeba więc kurze pozwalać, aby siadywała z kurczętami na podłodze, lub na gołej ziemi, ale w gnieździe ze słomy.

W każdej chorobie chore ptastwo od zdrowego odłączyć należy, gdyż zaraza szerzy się prędko.

Zarazy też bydła rogatego udzielają się ptastwu, bo często się zdarza, że gdy bydło choruje, drób też zdycha, więc trzeba koniecznie, aby drób nie chodził nigdy śladami takiego bydła, ani się nie zbliżał do niego.

Sadźcie olsze! Drzewo olszy już w 15 roku zdatne jest do użytku i dobrze bywa płacone, a udaje się na mokrych, kwaśnych, zabagnionych łąkach, nad strumieniami i potokami o nizkich brzegach, nad rowami, które przez zawalenie szlamem są zabagnione, wogóle w położeniach nizkich, mokrych o torfiastej ziemi. Ze wszystkich gatunków drzew, olsza znosi wilgoć najlepiej. Ziemie, które na przemian jakiś czas są mokre, a potem suche, nie nadają się do kultury olszy.

Obsadzenie wymienionych błotnistych nieużytków olszyną da się uskutecznić najtatwiej w następujący sposób. Zapomocą ostro zaciętego palika lub świdra ziemnego robi się w wilgotnej ziemi dziury, w odległości co dwa metry, i wsadza w nie jedno — lub dwuletnie sadzonki, wyjęte z korzeniami, lecz zważa się przytem, by sadzonki nie siedziały głębiej niż poprzednio. Na gruntach, gdzie stoi woda, trzeba koniecznie usypać niewielkie kopczyki i na nich dopiero sadzonki posadzić.

Podstęp żydowski.

W Królestwie polskiem (w zaborze rosyjskim) odbywa się w szkołach tamtejszych cała nauka w języku rosyjskim. Taka nauka dla uczniów - Polaków nie jest ani przyjemną ani pożyteczną. W roku bieżącym młodzież polska zaczęła się głośno domagać, aby ją uczono w jej ojczystym, polskim języku, a nie w rosyjskim, a że rząd

ani słyszeć o tem nie chce, więc studenci-Polacy urządzili tak zwany „strejk szkolny“ — i zaprzestali chodzić do szkół.

Strejk ten trwa w Królestwie już od kilku miesięcy, a parli do niego młodzież polską głównie agitatorzy socyalistyczni, którymi kierują żydzi. Socyalistom atoli i żydom nie chodzi tu wcale o wywalczenie szkół polskich, tylko najpierw o podtrzymywanie ducha rewolucyjnego u młodzieży polskiej, a powtóre mieli tu oni inny, własny interes na celu, jak się to niedawno pokazało.

Rząd rosyjski nie zgodził się jeszcze na naukę polską w szkołach rządowych, ale zezwolił na naukę polską w różnych szkołach prywatnych. I cóż się stało? Oto żydzi uczęszczający do owych szkół prywatnych opuścili je teraz właśnie dlatego, że w nich zaprowadzono naukę polską, a przenieśli się do szkół rządowych, gdzie uczą po rosyjsku. Więc czyż im chodzi o szkoły polskie? Bynajmniej!

A dalej. Dotychczas przyjmowano do szkół w Rosyi nie wszystkich żydów, tylko pewną ograniczoną liczbę, obecnie zaś przez strejk młodzieży polskiej, szkoły te stałyby pustką — więc rząd nie mając w szkołach studentów-Polaków, pozwolił, by każdy żyd, który chce się uczyć, był przyjęty do szkoły.

Na strejku więc młodzieży polskiej zyskali tylko żydzi, bo im pozwolono do szkół tych uczęszczać bez ograniczenia, a traci młodzież polska, zwłaszcza zaś młodzież uboga. Bogatsi bowiem Polacy wysyłają swych synów do szkół w Galicyi, biedni zaś siedzą w domu i tracą lata.

Naumyślnie przeto namawiali żydzi przez swych agitatorów socyalistycznych młodzież polską, by ta urządziła strejk i do szkoł nie chodziła, bo teraz mogą żydzi do tych szkół chodzić. Był to więc oczywisty podstęp żydowski obrachowany na korzyść żydów, a na wielką szkodę Polaków. Niestety, i na tak jawnym podstępie jeszcze się nie poznała młodzież polska w Królestwie i dalej żydów i agitatorów socyalistycznych słucha.

Cała agitacya socyalistyczna, cały socyalizm jest podstępem żydowsko-masońskim, obrachowanym na bałamucenie niebacznych chrześcijan, zwłaszcza robotników,

ale robotnicy tak są ciemni, że nie widzą tego i idą jak barany pod sztandar żydowski i pod rozkazy żydów. Takim ludziom można śmiało powiedzieć: hańba wam!

KTO NA TEM ZYSKUJE?

Wypędził rząd francuski zakonników i zakonnice, zabrał im kościoły i klasztory, czyli obrabował i okradł ich, a teraz co robi z tymi skradzionymi gmachami? Oto sprzedaje takowe za pół darmo żydom.

W miejscowości Germain en Loye sprzedano klasztor zakonnic za 82 tysiące franków, a klasztor ten wraz z ogromnym ogrodem wart jest dwa a może trzy razy tyle. Rząd dla zachowania pozorów, że to niby nie służy żydom — chciał, aby gmina Germain kupiła ów klasztor na szkołę, ale gmina odpowiedziała, że nie chce kupować skradzionych przez rząd rzeczy.

W mieście Nancy w podobny sposob zakupiła spółka żydowska wspaniałą posiadłość OO. Kartuzów za 165 tysięcy franków, podczas gdy ta posiadłość warta przeszło trzy razy tyle, bo pół miliona franków.

I złoszczą się potem socyaliści, gdy się zarzuca, że służą żydom — przecież to jest jasne jak słońce! Rząd francuski jest socyalistycznym i ten rząd sprzedaje żydom za pół darmo dobra, które ukradł zakonom katolickim!

Z nieszczęśliwej krainy.

Z Kalabryi, prowincyi włoskiej, nawiedzonej, jak wiadomo, we wrześniu bieżącego roku okropnem trzęsieniem ziemi, nadchodzą dalsze nader smutne, niektóre nawet przerażające wieści.

I tak w miejscowości Fellegara runął starożytny kościół. Był on uszkodzony skutkiem trzęsienia ziemi; proboszcz zarządził naprawę części grożących zawaleniem i właśnie w chwili, gdy murarze zajęci byli pracą, padło sklepienie i wieża, grzebiąc w zwaliskach wszystkich pracujących. Uderzono w dzwony na alarm, zbiegła się ludność; słyszano jęki konających, lecz pomoc była prawie

niemożliwa, gdyż nieszczęśliwych pokrywały stosy gruzów i kamieni. Wydobyto kilka trupów oraz 12 robotników ciężko rannych. Gdy ich przenoszono do szpitala, jakiś idący drogą zakonnik udzielił konającym rozgrzeszenia.

Góra San Paolino (na Sycylii) wali się i rozpada. Ogromne głazy padają na okoliczne domki i niszczą je najzupełniej. Mieszkańcy tulą się po lasach, jaskiniach i na brzegu morskim. Także kościoły zamieniono na schroniska bezdomnych ludzi. W kościele OO. Kapucynów w Sutera nocuje 400 osób. Skalista góra S. Paolino rozpadła się na dwie połowy i powstała szczelina szeroka u góry na 400, a u podstawy na 100 metrów.

Obliczono, że budowa baraków drewnianych w Kalabryi dla ludzi pozbawionych domów, kosztować będzie 6 milionów koron.

Na rzecz nieszczęśliwych Kalabryjczyków zbierają ofiary po wielu miastach włoskich i zagranicznych. Najwięcej dało miasto Medyolan, bo blizko milion koron; najmniej dała rada miasta Paryża, a ta rada składa się z samych socyalistów, którzy tak krzyczą, że oni tylko są opiekunami biednych.

Ładni opiekunowie z socyalistów! Włoscy socyaliści pojechali do Kalabryi, ale nie po to, aby ratować nieszczęśliwych, tylko aby ich podjudzać i jeszcze więcej rozgoryczać.

Po rodzicach, zabitych w czasie trzęsienia ziemi, zostało mnóstwo sierót — a któż się niemi zajął? czy może jaki socyalista? Gdzież tam! Socyalistom ani się śni robić drugim dobrze, — to też sieroty kalabryjskie nic ich nie obchodziły; zajął się niemi, zbierał je po wsiach i miasteczkach kapłan włoski ks. Bekkaro i porozmieszczał w różnych zakładach dobroczynnych.

Po trzęsieniu ziemi nawiedziła południowe Włochy nowa klęska, mianowicie deszcze i burze. Największe straty poniosła prowincya Kaserta. Burza wyrywała tam drzewa z korzeniami, a deszcz ulewny zamienił olbrzymie przestrzenie pól i łąk w jeziora.

Ojciec święty, Pius X, przesłał tymczasem na odbudowanie kościołów w Kalabryi 250 tysięcy koron, i obiecał przysłać później jeszcze pewną kwotę.

Jak wygląda wolność religijna w Rosyi.

Car swoje — a czynownicy (urzędnicy rosyjscy) swoje. Car wydał tego roku ukaz pozwalający poddanym rosyjskim wyznawać swobodnie religię, do jakiej kto należy — a czynownicy wbrew temu ukazowi prześladują dalej katolików.

W Warszawie skazał jenerał gubernator Skałon księdza Gralewskiego na dwa lata pobytu w klasztorze i na odebranie probostwa za to, że ksiądz Gralewski podpisał w lecie jakiś protest przeciw niemądrym rozporządzeniom czynowników.

Naczelnik powiatu siedleckiego, przed przyjazdem tamże X. Biskupa Jaczewskiego z Lublina, rozesłał do gmin rozkaz, według którego szlachcie zakazał ubierać się w kontusze na powitanie Biskupa, a wójtom nakazał nie dopuszczać do tworzenia banderyj konnych, któreby towarzyszyły ks. Biskupowi, objeżdżającemu parafie.

Oburzają się na to postępowanie czynowników same nawet gazety rosyjskie, a jedna z nich, mianowicie *Nowoje Wremia*, nazywa uciskanie katolików „niemądrą gorliwością“ i przytacza taki wypadek:

W gminie Niedźwiedzicach, w guberni mińskiej, był stary kościół katolicki, który tak podupadł, że w r. 1886 zamknięto go z rozkazu władz, a na restauracyę nie pozwolono i wielka parafia licząca 7500 dusz pozostala bez kościoła. Gdy w roku bieżącym ogłoszono ukaz carski o wolności religijnej, włościanie w Niedźwiedzicach, pomyśleli sobie: „teraz nie śmią nam odbierać kościoła“ i zabrali się tak gorliwie do naprawy kościoła, że w jednym tygodniu podparli ściany i poprawili dach.

Po ukończonej robocie, zebrali się w niedzielę dnia 17 września bieżącego roku w naprawionej jako tako świątyni, by Panu Bogu podziękować, że znowu mogą się modlić w swym kościołku. Tymczasem spadł na nich nowy cios. Władze rosyjskie uznały naprawę kościoła za niedozwoloną, za bunt, i wysłały dwie kompanie wojska, które do dziś tam stoi.

I to się dzieje, pisze *Nowoje Wremia*, w 20 tym wieku!!

Wiele więc jeszcze wody upłynie, zanim w Rosyi nastanie prawdziwa wolność religijna!

Z PRUSKIEGO ZABORU.

Jakimi barbarzyńcami są Prusacy względem naszych Braci-Polaków, niech o tem poświadczą następujące przykłady:

Istnieje tam pogańskie, niedawno uchwalone prawo, że Polak, chcący stawiać jakikolwiek budynek na swoim własnym gruncie, choćby nawet chlewek, musi prosić władze pruskie o pozwolenie na to.

Właściciel gruntu w Będlewie (w Poznańskiem) pan Witkowski pobudował sobie na swojej siedzibie domek i odpowiednie do niego zabudowania, a to za zezwoleniem odnośnej władzy. Następnie domek ten z kilku morgami gruntu odsprzedał panu Walentemu Przybylskiemu, który w nim z rodziną zamieszkał.

Lecz cóż się dzieje?

Oto władze miejscowe i powiatowe cofają konsens, dany na pobudowanie domu p. Witkowskiemu — i każą się z niego wyprowadzić p. Przybylskiemu i domek rozrzucić.

Sprawa oparła się aż o Berlin, ale bez żadnego pomyślnego skutku dla p. Przybylskiego. Nieborak chodzi teraz zrozpaczony od Annasza do Kaifasza, prosząc w niebogłosy o litość nad sobą i nad swemi dziećmi, ale wszystko napróżno.

— Cóż ja teraz ubogi człowiek pocznę z żoną i dziećmi? — biada nieszczęśliwy.

— Oto sprzedaj twoją hudobę — odbiera od władzy odpowiedź.

— A któż odemnie kupi, jeżeli mam rozrzucić mieszkanie?

— Już się znajdzie taki kupiec, który dobrze ci zapłaci i nie będzie potrzebował rozrzucić mieszkania — odpowiadają.

I rzeczywiście przybył do p. Przybylskiego Niemiec, który pertraktuje z nim o kupno jego własności dla innego Niemca.

Pan Przybylski będzie tedy musiał sprzedać swoją własność Niemcowi, a temu władze nie nakażą rozrzucić domku, bo im o to tylko chodzi, by prześladowaniami

i szykanami zmuszać Polaków do sprzedawania ziemi i domów Niemcom. W ten sposób chce rząd pruski wyprzeć Polaków z ich własnej ziemi. I czy to nie gałgaństwo?

O gwałtach i bezprawiach pruskich nauczycieli nadchodzą znowu straszne wieści. W Gnieźnie skazał sąd pruski robotnika polskiego, Nowakowskiego, na jeden dzień więzienia za to, że ten nie posyłał dzieci swych do szkoły, a te dzieci chodzić do szkoły nie chciały, bo je bił nauczyciel pruski.

Stawała też przed sądem gnieźnieńskim w podobnej sprawie wdowa Barłogowa. Jej córkę Stasię, tak bił nauczyciel pruski, Walitschek, tak ją targał za włosy i rzucał o ławkę, że aż się jej krew z ust i nosa puściła, i wskutek tego chorowała.

Sąd uwolnił wprawdzie Barłogową od kary, że nie przysłała przez 3 dni swej córki do szkoły, ale pruskie władze szkolne nie ukarały owego bydlęcia — nauczyciela, i zapewne wynagrodzą go jeszcze za jego gorliwość w mordowaniu polskich dziatek. Taka to pruska cywilizacya! Ale da Bóg, przyjdzie i na nich kreska! Pan Bóg nie puści bezkarnie tylu krzywd wyrządzonych naszym Braciom!

Z kraju i ze świata.

Nowy Patron polski. W kościołach OO Jezuitów, zwłaszcza w Krakowie i w Cieszynie (na Śląsku austryackim) odbywały się z początkiem października bieżącego roku piękne uroczystości na cześć księdza Melchiora Grodzickiego, Jezuity-Polaka, rodem z Cieszyna, którego w r. 1619 zamordowali kalwini na Węgrzech w Koszycach.

W roku zeszłym 1904 dnia 1 listopada policzył Ojciec święty Pius X ks. Grodzickiego w poczet „Błogosławionych“, — a teraz w tym roku odbyły się na jego cześć uroczystości kościelne. Wraz z Błogosławionym ks. Melchiorem zginęli wówczas z rąk kalwinów w Koszycach dwaj jeszcze księża, mianowicie: ks. kanonik Kriżeny i ks. Pongracz. I tych również policzyła Stolica święta w poczet Błogosławionych.

Ks. Arcybiskup Simon, dawny Biskup płocki (z Królestwa) powrócił już z Ameryki, gdzie objeżdżał parafie polskie z polecenia Ojca świętego, i obecnie bawi w Galicyi. Ks. Arcybiskup Simon zdawał już sprawę Papieżowi ze swej objażdżki.

W rozmowie z pewnym członkiem redakcyi krakowskiego *Głosu Narodu* oświadczył ks. Arcybiskup, że sprawa utworzenia biskupstwa polskiego w Ameryce nie jest rzeczą tak naglącą, jak ją gazety przedstawiają. Zresztą jeden Biskup polski nie wieleby tam poradził, i nie wieleby przeszkodził przerabianiu Polaków na Amerykanów, bo Polacy są w Ameryce rozprószeni po kilkudziesięciu dyecezyach.

Ważniejszą jest inna sprawa, mianowicie brak już w Ameryce księży polskich, i wiele parafij polskich ma księży irlandzkich, którzy po polsku ani słowa nie umieją i parafian polskich na Amerykanów przerabiają, ucząc ich dzieci tylko po angielsku.

Dlatego trzeba założyć tu w Galicyi osobne seminaryum dla kleryków-Polaków, którzyby po wyświęceniu na kapłanów pojechali do Ameryki i objęli parafie polskie, w przeciwnym zaś razie Polacy w Ameryce wnet przerobią się na Amerykanów i zapomną po polsku mówić.

Na Węgrzech ma być zaprowadzone powszechne prawo wyborcze, aby szersze masy ludności mogły też wybierać posłów. Rząd sądzi, że przez takie wybory złamie lub osłabi magnatów, którzy dziś głównie dążą do oderwania Węgier od Austryi.

Walka o powszechne prawo wyborcze rozpoczęła się równocześnie w całej Austryi. Szczególnie socyaliści urządzają liczne wiece w tej sprawie i domagają się powszechnego prawa wyborczego, a ich zwolennicy powtarzają te żądania w sejmach poszczególnych krajów.

Nasi galicyjscy socyaliści urządzili w poniedziałek 23 października b. r. olbrzymią demonstracyę we Lwowie. W liczbie 4 tysięcy poszli najpierw przed Sejm i wysłali osobną deputacyę do Marszałka z żądaniem, aby Sejm uchwalił powszechne prawo wyborcze. W imieniu deputacyi przemawiał p. Daszyński.

Marszałek hr. Stanisław Badeni odpowiedział, że osobiście uważa rozszerzenie prawa wyborczego za słuszne,

ale wszelkie gwałtowne przewroty stosunków w tej sprawie jak i w każdej innej uważałby za szkodliwe dla kraju, natomiast z zadowoleniem powitałby w Sejmie przedstawicieli klasy robotniczej. Marszałek zaznaczył dalej: że wszelki nacisk ze strony socyalistów może tylko sprawie zaszkodzić.

Opuściwszy gmach sejmowy udali się robotnicy przed gmach namiestnictwa. Ta sama deputacya udała się do namiestnika. I tu przemawiał p. Daszyński, prosząc p. namiestnika, aby żądania robotników przedstawił rządowi w Wiedniu. Pan namiestnik hr. Andrzej Potocki odpowiedział, że zrobi to chętnie, gdy najprzód Sejm uchwali zmianę ustawy wyborczej; w końcu wyraził uznanie robotnikom, że urządzili demonstracyę poważnie, bez awantur.

Gdy deputacya wyszła z gmachu, przemówił do tłumów p. Daszyński, poczem robotnicy rozeszli się spokojnie.

Klęska Niemców w Afryce. Powstańcy murzyńscy w Afryce zadali znowu nową klęskę wojsku niemieckiemu w tamtejszych koloniach. Powstańcy pobili wojsko niemieckie i zabrali mu 15 wozów z żywnością.

W Rosyi nie ustają zaburzenia krwawe i strejki. Świeżo przyszło do krwawych starć ulicznych w mieście Moskwie, przyczem zginęło kilkudziesięciu robotników strejkujących.

Na grudzień, czy styczeń zapowiadają robotnicy rosyjscy ogólny zjazd do Petersburga, i głoszą, że się wojska bać nie będą, bo wszyscy będą należycie uzbrojeni.

Między Anglią a Niemcami oziębiają się coraz bardziej stosunki polityczne. Świeżo zdradziła jedna z gazet francuskich, że rząd angielski przyrzekł Francyi pomoc, na wypadek wojny Francyi z Niemcami. Anglia wypiera się teraz tego, ale to jasnem jest, że Anglicy nie cierpią Niemców i szukają sposobności, by zniszczyć niemiecką flotę, czyli okręty wojenne, które zaczynają Anglii bruździć.

Szwecya i Norwegia na dobre się już rozdzieliły. Oba sejmy, to jest szwedzki i norwegski zgodziły się na ten rozdział, więc i król szwedzki zgodzić się nań musiał. Norwegczycy chcą jeszcze raz prosić króla szwedzkiego, by jego syn objął tron w Norwegii, a gdyby ten się na to nie zgodził, to poproszą na tron norwegski królewicza duńskiego.

Podpisanie traktatu pokojowego przez cesarza rosyjskiego i cesarza japońskiego nastąpiło urzędownie w połowie października. Cesarz japoński ogłaszając narodowi warunki pokoju, zaznaczył, że Japonia odniosła w tej wojnie z Rosyą wielkie korzyści, i że teraz Japonia jest na nowo w przyjaźni z Rosyą. Równocześnie jednak rząd japoński postanowił zwiększyć znacznie swoją armię. Widocznie Japończycy nie bardzo wierzą w przyjaźń Rosyi.

ROZMAITOŚCI.

Życzliwych nam Czytelników prosimy bardzo o zjednywanie dla naszego pisma nowych prenumeratorów.

Postanowiliśmy bowiem dodawać **bezpłatnie** do *Nowego Dzwonka* **cztery książeczki** *Biblioteki Rozmaitości*, czyli co kwartał jednę książeczkę, a to będzie dużo kosztowało.

Ponieważ zaś nie mamy znikąd żadnej subwencyi, przeto koniecznie potrzeba więcej prenumeratorów dla *Nowego Dzwonka*, byśmy mogli jako tako pokryć koszta *Dzwonka* i *Biblioteki.*

Teraz koniec roku, więc to czas sposobny do zjednywania nowych Czytelników.

Tym, którzy mówią, że pismo nasze jest drogie, odpowiadamy: tak; inne pisma są rzeczywiście tańsze od naszego, ale tamte inne pisma mogą ich wydawcy dawać za pół darmo, a nawet i za darmo, bo mają fundusze osobne od pewnych ludzi na wydawnictwo, a my żadnych funduszów znikąd i od nikogo nie mamy i pracujemy o własnych tylko siłach, a koszta wydawnictwa są wielkie.

Dochodu z pisma naszego nie mamy prawie żadnego, choć pracujemy w pocie czoła. Powtóre: trzeba na to też uważać, że nasze pismo ma wartość nie tylko w roku, ale i po roku, można bowiem z niego zrobić książkę po roku. Nadto dajemy za darmo jako premie *Kalendarz ścienny*, *Kalendarz książkowy* i *Bibliotekę Rozmaitości*, a to wszystko grubo nas kosztuje.

Gdyby Czytelnicy wiedzieli, jakie są koszta wydawnictwa, t. j. druku, papieru i t. d., toby się zdziwili, iż tak tanio, bo tylko za 5 koron dajemy pismo nasze.

Przypadek czy kara Boża? Z Zakliczyna piszą nam: Jędrzej Bodzianty, dzierżawca skały w kamieniołomie w Bieśniku niedaleko Zakliczyna, zabawiał się w niedzielę 4 października w pewnym szynku w Zakliczynie.

Po zabawie wracał Bodzianty wieczorem koło ósmej do Bieśnika, a gdy już uszedł ze 3 kilometry, najechał z przeciwka z pagórka wózek, i tak nieszczęśliwie uderzył w lewy bok Bodziantego, że złamał mu 3 żebra i serce nadwerężył.

Wózek pojechał dalej, bo furman nie wiedział co się stało, Bodzianty zaś leżał na drodze jęcząc z bólu. W powrocie dopiero spostrzegł ów furman leżącego Bodziantego, zabrał go na wózek i zawiózł do Bieśnika. Wezwano zaraz księdza i lekarzy, ale Bodzianty tymczasem życie zakończył, pozostawiając pobożną żonę i siedmioro dzieci.

„Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni“ — lecz trzeba tu zauważyć, że nieboszczyk na 4 dni przedtem, t. j. 1-go października w święto Matki Boskiej Różańcowej, zabawiał się także z w szynku w Zakliczynie, i to w chwili, gdy po mieście chodziła procesya z Najświętszym Sakramentem.

Zdziczenie. Na Wolance pod Borysławiem napadają robotnicy kopalniani na zupełnie niewinnych ludzi. Niedawno temu napadli i dotkliwie okaleczyli pana Bonaresku, delegata rządu rumuńskiego, który bawi w naszym kraju, by poznać stosunki w przemyśle naftowym.

— Opadnięto też i obito czteru wiertaczy i dwóch pomocników. Że napadającymi są robotnicy należący do partyi socyalistów, to rzecz niewątpliwa, bo socyalizm przemienia człowieka w dzikie zwierzę. Uczciwy, i katolicki robotnik nie napadałby i nie kaleczył ludzi spokojnych — na to zdobyć się może tylko zdziczały towarzysz socyalistyczny.

Piękna fundacya. Najprzewiel. ks. Biskup Józef Pelczar z Przemyśla ufundował w swojem miejscu rodzinnem w Korczynie obok Krosna, szpital dla 12 ubogich starców i praktyczną szkołę dla dziewcząt.

Pod kołami pociagu znalazła śmierć natychmiastową Marya Błahutowa. Jechała ona na furze z dwoma synami,

a gdy fura przejeżdżała przez tor kolejowy w Rokicinach, między Chabówką a Rabą wyżnią, najechała na nią lokomotywa. Błahutowa zginęła na miejscu, młodszy jej syn 12-letni Tadeusz został ciężko pokaleczony i w kilka godzin umarł, starszy zaś 22-letni odniósł tylko lekkie rany.

Wychodźctwo. Na dworcu kolejowym w Krakowie uwięziono niejakiego Wojciecha Tomeckiego, prywatnego nauczyciela ludowego z Tuszowa kolonii w powiecie mieleckim.

Jest to naganiacz emigracyjny, trudniący się werbowaniem ludzi do Ameryki, za co pobiera dobrą zapłatę od firmy przewozowej Karlsberg w Hamburgu, a nadto obdzierał on i wychodźców, bo pobierał od wychodźców po 10 koron na głowę.

Firma Karlsberg w Hamburgu ma podobno w naszym kraju dużo podobnych naganiaczy emigracyjnych, którzy w interesie owego przedsiębiorstwa wywozowego w Hamburgu nakłaniają lud do tłumnej emigracyi. Władze powinny wytropić owych naganiaczy i surowo ich ukarać.

Niegodziwą handlarkę, naturalnie żydówkę Laję Nadel, aresztowano w Stanisławowie. Uwodziła ona dziewczęta i wywoziła do Turcyi. Podobno dużo ofiar ma owa żydowica na sumieniu.

Budowa dróg wodnych, obiecywana przez rząd od kilku lat, może się już zacznie naprawdę w roku przyszłym, bo rząd wstawił do wydatków swoich na rok przyszły 1 milion 840 tysięcy koron na wykupno gruntów między Zatorem a Samborkiem, za Krakowem. Na kanalizacyę zaś Wisły pod Krakowem przeszło 1 milion koron.

Cesarskie słowa. Dnia 5 października bieżącego roku była u cesarza Franciszka Józefa w Wiedniu deputacya wybrana z pośród Rady miasta Krakowa, by podziękować Cesarzowi za to, iż zezwolił na odnowienie zamku królewskiego na Wawelu i przyjęcie go na swoją rezydencyę.

Cesarz oświadczył, że cieszy go to bardzo, iż stary zamek Jagiellonów został przeznaczony na restauracyę dla niego, bo w tem widzi jeden dowód więcej przywiązania Galicyi do jego osoby.

Przygoda wieśniaka galicyjskiego w Wiedniu. Przed kilkoma tygodniami zajeżdżał wprost przed zamek cesarski w Wiedniu mały chłopski wózek, zaprzężony w maleńkiego, ale dość tłustego konika. Na wózku siedział chłop i jego żona, oboje w odzieży, jaką nosi lud w Galicyi. Ponieważ tego rodzaju pojazd nie może być w okręg zamku cesarskiego puszczony, więc i ta para chłopska została przez posterunek straży na placu św. Michała zatrzymana. Chłop jednak tłómaczył się, że musi być u Cesarza na audyencyi i w żadnym razie nie wróci bez tego do domu, tem bardziej, że przez siedmnaście dni tłukł się ze swej rodzinnej wioski w Galicyi do Wiednia, aby stanąć w Burgu przed Cesarzem. Obstawał też wytrwale przy swem żądaniu, by go do Burgu puszczono.

Wezwano go wreszcie, by wóz opuścił. Było to jednak trudne do wykonania, gdyż chłop ów poruszał się tylko z wielkim trudem o kulach. Nakoniec jednak udało się i wówczas wytłómaczono mu, że musi naprzód zwrócić się do cesarskiej kancelaryi dworskiej i tam prosić o audencyę. Chłop zadowolił się tem i powlókł się ciężko ku Burgowi, gdzie stanął obok straży, oczekując na powrót Cesarza z Schönbrunu. Kiedy powóz Cesarza ukazał się w dali, wysunął się chłop ze swą prośbą napisaną i było widocznem, że chce ją na kolanach podać do powozu. Z trudem przeszkodzono temu i chłopa zaprowadzono do izby straży gwardyjskiej, gdzie stwierdzono jego pochodzenie. Zawiadomiono urząd ochmistrzowski i dyrekcyę policyi o zajściu, poczem chłopa puszczono z wsparciem 60 koron. Kiedy go zapewniono, że na jego podanie przyjdzie odpowiedź pisemna, zgodził się wreszcie ustąpić i wrócić do domu. Wyjątkowo pozwolono na to, by wózek jego wprowadzić na podwórze w Burgu, gdzie go znowu na siedzenie wpakowano i wraz z żoną odprawiono. Zadowolony tym wynikiem, żegnając się z otaczającymi wózek ludźmi, odjechał ów chłop ku ojczystym stronom.

Swiat na opak. Mieszkańcy miasta Hoaddon, w prowincyi czyli w Stanie Kanzas (w Ameryce), obrali burmistrzem miasta kobietę. Już podczas ostatnich wyborów na stanowisko radców miejskich obrano same kobiety. Kandydaci rodzaju męskiego przepadli, nie otrzymawszy ani jednego głosu, a więc owem miastem rządzą same kobiety.

Ciekawe doświadczenie. Tymi czasy stracono we Francyi, w mieście Orleanie, niejakiego Languilla, skazanego na śmierć za zamordowanie i ograbienie pewnego szynkarza. Morderca szedł na śmierć z odwagą i spokojem, które wprawiły w podziw wszystkich obecnych przy egzekucyi.

Po straceniu, lekarz naczelny szpitala orleańskiego, dr. Beaurin, za pozwoleniem prokuratora naczelnego, dokonał następującego doświadczenia na głowie ściętej: W chwili, gdy pod nożem gilotyny głowa skazańca oddzieliła się od tułowia i spadła do kosza, dr. Beaurin podniósł ją za włosy i zawołał: „Languille, Languille!“ Na głos ten rozwarły się zamknięte powieki, a oczy ściętego wpatrzyły się uporczywie w lekarza, poczem powieki opadły.

Lekarz zawołał znów: „Languille, Languille!“ — i znów otworzyły się zwolna powieki, a oczy spojrzały na lekarza. Gdy powieki opadły powtórnie, lekarz wywołał nazwisko ściętego po raz ostatni, ale tym razem powieki już się nie rozwarły. Doświadczenie trwało 30 sekund, jak widać zatem, w przeciągu pół minuty głowa zachowała jasną świadomość i życie.

Chińskie zwyczaje. Zupełnie inne, niż u nas, panują zwyczaje w Chinach. I tak: Chińczyk sadza po lewej stronie tych, których chce uczcić. Obuwie bieli, a nie czerni. Przyjaciołom w podarunku daje trumny. Mówi dziesięć sześć, zamiast sześćdziesiąt. Witając się, ściska własną rękę i kładzie kapelusz na głowę. Jadąc konno wsuwa pięty do strzemion. Zapytuje obce osoby o ich wiek i dochody, przez grzeczność. Nosi bilety wizytowe przeszło łokciowej długości. Zjada ziarnka melona, a odrzuca miąsz. Zasługi Chińczyka nadają tytuł przodkom, nie potomstwu Kobiety chińskie chodzą w spodniach — mężczyźni w spódnicach. (!)

Bez słońca. Pomiędzy alpejskiemi górami są wsie i ustronia złożone z kilku chat, dla których słońce przez 3 miesiące nie istnieje. W miejscowościach tych pojawienie się pierwszego promyka słonecznego witane bywa ogólną radością — wszyscy na cześć słońca świętują.

Uroczystość powitania tak się odbywa: 10-go lutego— bo w ten dzień słońce po raz pierwszy od 2-go listopada

pokazuje się — pasterze ogłaszają dźwiękami fletów i rogów, że słońce z za gór wygląda. Wówczas wszyscy mieszkańcy z owsianemi plackami w ręku wychodzą z chat swoich i na placu wiejskim otaczają kołem najstarszego pasterza, tańcząc i śpiewając. Następnie mając na czele owego starca, idą do granic doliny; tam składają placki na ziemi i powracają na łąkę, gdzie wciąż tańcząc i śpiewając, czekają na pierwszy promień.

Gdy dolina już się rozjaśni, każdy bierze swój placek i podnosi ponad głowami wszystkich w obu rękach; gdy słońce już wypłynie ponad wioskę w całym blasku, starca odprowadzają do domu, a każdy wraca do siebie, aby w gronie rodziny placek ów spożyć. Uroczystość ta pochodzi niezawodnie z czasów pogańskich, kiedy słońcu oddawano cześć boską.

Wstrzemięźliwość Trapistów. Jednym z najostrzejszych zakonów w Kościele katolickim, jest zakon Trapistów, oddany pracy koło roli i modlitwom. Trapiści nie tylko pracują ciężko, ale przestrzegają przytem wielkiej wstrzemięźliwości w jedzeniu — jedzą bardzo mało, a mimo to są zdrowi.

Od 14 września do pierwszej soboty Postu w ciągu doby jadają oni raz tylko jeden, o 3-ciej po południu, czyli w dwanaście godzin po wstaniu. Te dwanaście godzin zapełnione są modlitwą i pracą ręczną. Przy takiej wstrzemięźliwości Trapiści są zupełnie zdrowi, nie znają wcale chorób żołądkowych. Żywią się chlebem, ziemniakami, jadają zupę bez tłuszczu, jarzyny, gotowane w wodzie. Ryby, mięso, masło i jaja wzbronione są Trapistom zdrowym, oliwy mogą używać tylko do sałaty. Pół litra jabłecznika dziennie, to ich zwykły napój: po obiedzie jadają owoce suszone lub gotowane.

Taki tryb życia nie osłabia, lecz przeciwnie zahartowuje, zwłaszcza przy pracy na świeżem powietrzu. W ciągu lat 28 ich lekarz ani razu nie stwierdził u Trapistów apopleksyi, wodnej puchliny, kamieni żółciowych, ani raka. Najcięższe epidemie nie przekraczają furty klasztornej. To samo stwierdzają lekarze, mający w swej opiece Trapistów w Belgii, w Bośnii (Varia-Stern), w Afryce południowej (Marianhill). Trapiści opowiadają, że ilekroć osoba chorowita wejdzie do ich zakonu, po pewnym czasie nabiera

sił i zdrowia. Żywienie się raz na dzień w umiarkowanej ilości sprowadza zawsze dobre skutki.

Dlaczego ptaki żyją dłużej niż ludzie? Tą sprawą zajmuje się sławny uczony lekarz rosyjski Mecznikow i sądzi, że roślinna żywność ptaków wytwarza w żołądku ptaków mniej drobnoustrojów spowodujących różne choroby, niż żywność mięsna w żołądkach ludzi i zwierząt ssących. Po papudze mającej 75 lat nie znać starości ani w ruchach ani w powierzchowności.

Psy na wojnie. W Wiedniu zawiązało się niedawno stowarzyszenie pod nazwą: „Austro-węgierski klub psów wojennych“, który ma na celu hodowlę i tresowanie psów, któreby na polu wojny, dzięki swej wrodzonej czujności, spełniały ważne usługi.

Taki pies ostrzega placówki o zbliżaniu się obcego, — nieprzyjaciela. Kiedyindziej z torebką na szyi pędzi przez pola i bezdroża z rozkazami i raportami do sztabu. Najważniejszem jednak jego zadaniem jest — pomoc sanitarna. Z wielką butelką wody przebiega po bitwie pobojowisko, wyszukuje rannych, leżących gdzieś w ukryciu, w krzakach, zbożu lub w dołach, pozwala im pokrzepić się paru łykami, a do cięższej rannych przyzywa pomocy swego oddziału sanitarnego, bądź to pobiegłszy po niego, bądź też dając znać o potrzebie uporczywem szczekaniem. — Dzięki instynktowi, potrafi doszukać się śladów życia jeszcze w tych rannych, którzy leżąc bez ruchu i przytomności, uchodzą nawet w oczach sanitaryuszy za nieżywych. W wojnach ostatnich psy wojenne ocaliły już życie setkom i tysiącom ludzi.

Zwierzęta-lekarze. Zwierzęta znają się doskonale na siłach leczniczych natury i można chyba śmiało twierdzić, że ludzie dowiedzieli się o wielu ziołach leczniczych dopiero od zwierząt. Gdy niedźwiedź zbudzi się ze snu zimowego, zjada natychmiast pewien rodzaj mchu, aby sobie wyczyścić żołądek i wnętrzności.

Każdy znawca psów wie, iż psy na wsi czują się daleko lepiej, niż w mieście. Na wsi może pies, skoro się tylko czuje chorym, jeść do woli trawę i zioła. Postrzelony dzik obmywa sobie ranę. Pies, ukąszony przez żmiję, udał się natychmiast do zródła, trzymał łapę 24 godzin we wodzie i wyzdrowiał. Drzewo jarzębinowe było po-

prostu oblężone przez wrony, które chciano struć pigułkami fosforowemi. Widocznie jagody jarzębinowe były lekarstwem na truciznę.

Największy dom na świecie. W mieście Nowym Jorku (w północnej Ameryce) znajduje się największy dom na świecie. Gmach ten wznosi się na 17 pięter, ma trzy tysiące pokojów i 300 mieszkań.

Na dole znajdują się różne sale na zabawy i bale, kawiarnia, restauracya, urząd pocztowy, apteka, różne sklepy, oraz mieszkanie lekarza. Schody na piętra są marmurowe, oprócz tego na każde piętro można się dostać windą.

W tym domu są mieszkania składające się z różnej ilości pokoi. Każde mieszkanie ma dwie łazienki, jedną dla państwa, drugą dla służby. Wszędzie są wodociągi. Mieszkańcy opłaciwszy czynsz za mieszkanie, stosunkowo nie dość wysoki, otrzymują bezpłatnie: opał, światło elektryczne i lód. Szafy są wszędzie w murach. Budowa tego domu trwała od roku 1899 do 1902 i kosztowała 4 miliony dolarów, czyli 20 milionów koron. Obecnie czysty zysk z czynszu wynosi przeszło 2 milony koron.

Nowy strejk i rozruchy rewolucyjne w Rosyi.

Prawie na wszystkich kolejach w Rosyi zastrejkowała służba kolejowa i urzędnicy. W skutek tego wszystkie większe miasta zostały odcięte od świata i pozbawione żywności. Oprócz kolejarzy strejkują także robotnicy w licznych fabrykach. Wszyscy domagają się nie polepszenia płacy, tylko konstytucyi i powszechnego prawa wyborczego. Nie urzędują także poczty. Przez granice niemiecką i austryacką przewożą rewolucyoniści potajemnie mnóstwo broni. Zanosi się na ogólną rewolucyę.

FIGLE I ŻARTY.

Zagadka. Co jest pół drewniane, a pół świńskie?

Szczotka.

W szkole. Nauczyciel: Janku, powiedz mi, kto stworzył ot tamtą górę

Janek (którego rodzice niedawno przybyli ze wsi i dopiero pierwszy raz będąc w szkole): Nie wiem, bo my tu niedawno mieszkamy.

Uczeń szewski u rzeźnika: Proszę o kiełbasę, ale taką świeżą jak zeszłym razem

— A dla czegoż ma być taka?

— A bo majster powiedział: „Jak jeszcze raz taką przyniesiesz, to ją sobie sam zjesz".

Łapka na myszy. Ależ panie! Pan sprzedałeś mi łapkę na myszy i powiedziałeś, że coś podobnego nigdzie dostać nie można, a tymczasem ani jednej myszy nie złapałam!

— Przepraszam! Łapka jest rzeczywiście dobrą, lecz myszy pani nic nie są warte!

PROŚBA Z LEŻAJSKA!

Szeroko i daleko słynęły w całej Polsce **organy** w klasztorze OO. Bernardynów w **Leżajsku**. Były one największymi w całej Polsce, a zbudowane zostały w XVII. w., t. j. dwieście kilkadziesiąt lat temu wstecz.

Organy te nienaprawiane służyły dzielnie przez kilka wieków, grając na chwałę Bogu i Maryi. Ale ząb czasu, który wszystko niszczy, nadwyrężył wspaniałe dzieło naszych przodków, i dziś okazała się konieczna potrzeba gruntownej restauracyi. Bracia Mniejsi (OO. Bernardyni), strażnicy tego miejsca świętego, nie zrażając się trudnościami i wydatkami, postanowili wspaniałe dzieło przodków do ponownej przywrócić chwały.

Koszta restauracyi obliczone są na 40.000 kor. Klasztor pieniędzy tych nie ma, ale ufny jest w pomoc N. Panny Maryi i ofiarność ziomków. A jako dawniej panowie i biedacy z całej Polski spieszyli ochotnie z jałmużną według swej możności, tak spodziewamy się, że i dziś Polacy to uczynią, i każdy na ile go stać, zrobi ofiarę na restauracyę organu. Przesyłając najmniejszy datek, niechaj każdy pamięta o tem, że czyni ofiarę na chwałę Maryi, i że dopomaga do utrzymania na szereg następnych wieków wspaniałych organów, które są i będą nadal chlubą całej Polski.

Za wszystkich Dobrodziejów, którzy choćby najmniejszą prześlą ofiarę, **odprawia się co miesiąc Msza święta** wotywna po wszystkie czasy.

Wszelkie datki proszę posyłać przekazem pod adresem:

W. X. Gwardyan O. Sergiusz Michna, Leżajsk, Klasztor OO. Bernardynów.